

# BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany  
tygodnik kobiecy*





W a r s z a w a,  
S o l e c 87

# „BLUSZCZ“

społeczno-literacki  
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,  
Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.  
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*  
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*  
Redakcja i Administracja Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE

## Treść numeru:

*Zofja Poptarska*: „O tem, czego się nie da nadrobić”. *Ewa Kochanowska*: „Musculus Cordis”. *Stefanja Podhorska-Okolów*: „Kazimiera Hłakowiczówna, laureatką państwowej nagrody literackiej”. Przemówienie pierwszej laureatki miasta Wilna, *Kazimiera Hłakowiczówny*. *Kazimiera Hłakowiczówna*: „Moje wileńskie dzieciństwo”. *Elżbieta Szemplińska*: „Mgła”. *M. Dobrowolska*: „Babuńcia”. *St. Osińska*: „Jak zdobyć trochę węgla”. *Stefanja Podhorska-Okolów*: „Sztuka Italska”. Wychowanie i szkoła. *N. J.*: „Humor naszych dzieci”. *Zofja Karczenska*: „Kurs dla narzeczonych w Bninie pod Poznaniem”. *H. N.*: „Z ubiegłego tygodnia”. *S. P. O.*: „Z teatrów”. „Kobieta w świecie i w domu”. „Świat Kobiety w ilustracji”. *J. Gryziewiczówna*: „Mieszkam w jednym pokoju”. *Witold Noskowski*: „Benzyna i eter”. *Pola Pańkowska*: „Nasza mównica”. Ogrodnictwo i hodowla. *Marja Dąbrowa*: „Cholera kur”. „Zimowe prace koło drzew owocowych”. „Kwiaty a centralne ogrzewanie”. Dom i gospodarstwo. *Wanda Dobrzańska*: „Rupieciarnia”. *Melba*: „Przepisy kulinarne”. Tworzymy piękny i pożyteczny pomnik. Z działalności Polskiej Macierzy Szkolnej.

## WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.  
Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.  
Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

## WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

|                             | zł.   |
|-----------------------------|-------|
| $\frac{1}{1}$ str. tekstu — | 700.— |
| $\frac{1}{8}$ „ „ —         | 400.— |
| $\frac{1}{4}$ „ „ —         | 200.— |
| $\frac{1}{8}$ „ „ —         | 100.— |
| $\frac{1}{16}$ „ „ —        | 50.—  |
| $\frac{1}{32}$ „ „ —        | 30.—  |

|                           | zł.   |
|---------------------------|-------|
| $\frac{1}{1}$ str. okł. — | 500.— |
| $\frac{1}{8}$ „ „ —       | 250.— |
| $\frac{1}{4}$ „ „ —       | 150.— |
| $\frac{1}{8}$ „ „ —       | 80.—  |
| $\frac{1}{16}$ „ „ —      | 50.—  |
| $\frac{1}{32}$ „ „ —      | 30.—  |

|                           | zł.   |
|---------------------------|-------|
| $\frac{1}{1}$ str. okł. — | 600.— |

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelnicze, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „Bluszcza” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.



# Bluszczy

SPOŁECZNO-LITERACKI  
ILUSTROWANY  
TYGODNIK KOBIECY

ZOFJA POPLAWSKA

## O TEM, CZEGO SIĘ NIE DA NADROBIĆ

Pomimo tak zwanych „klęsk dziejowych“ i smutnych doświadczeń kryzysu, jesteśmy narodem optymistów.

Bo o czymże, jak nie o bezgranicznym optymizmie świadczą tak popularne w Polsce powiedzenia, jak „To się da nadrobić“ i „nie straconego“.

Mój Boże! chciałabym, naprawdę chciałabym zobaczyć przed śmiercią coś, co się rzeczywiście „dało nadrobić“...

Bo każda rzecz przecież musi być dokonana w czasie, a czas, jak wiadomo, ucieka i nawet Kusiński nie potrafi go dopędzić.

Poza tem, czas jest rzeczą (jeżeli wolno mi się tak wyrazić) i jeżeli nie ujmijemy go w formę pewnej zrobionej pracy, wcale dla nas nie istnieje. Każdy czas, w którym to, co mieliśmy dokonać wcześniej, dokonaliśmy później, jest już innym czasem. I to, żebyśmy ten czas, który uciekł, mogli dopędzić, jest tylko złudzeniem.

Złudzeniem, za które słono płacą wszyscy ci, którzy się mu oddają. Złudzenie bowiem jest w życiu artykułem luksusowym i to samo życie ściąga za nie podatek luksusowy. I słusznie! rozsądnemu człowiekowi powinno zupełnie wystarczyć marzenie. Marzenie ma się darmo. Komu jednak jest marzenia mało i chce jeszcze żyć złudzeniami, niech za nie płaci. Na szczęście, najczęściej płaci nie on sam, ale i inni...

Dlaczego o tem mówię?

Bo jesteśmy narodem, który ma wiele pięknych słów, ale przeważnie mało o nich myśli i mało wnika w ich głęboką mądrość, woląc od przysłów powiedzenia w rodzaju cytowanych powyżej.

Mówimy przecież jak inne narody (time is money!), że czas, to pieniądz.

Bo tak dalece nawet czas w tem przysłowiu cenimy, że mądrość narodu nadała mu formę pięknego skrótu. Nie mówimy „czas jest to pieniądz“, ale po prostu: „czas, to pieniądz“.

Ale...

Czy zechcecie sobie zadać trud i policzyć, ile razy w ciągu miesiąca usłyszycie tę sentencję, a ile razy o uszy wasze odbije się owo optymistyczne: „to się da nadrobić!“ (niektórzy mówią jeszcze: „czas nie zajac. Nie ucieknie!“). Statystyka byłaby bardzo cenna i interesująca do studjum o psychice narodowej.

Może dlatego tak rzadko cytujemy przysłowie: „czas, to pieniądz“, że zawsze mieliśmy szerokie gesty i nie ceniliśmy zbyt wiele pieniądza. Wiadomo, że szlachcie wolno było zajmować się tylko handlem zbożem i handlem solą. Handel innymi artykułami sprzeciwiał się pojęciu szlachectwa.

Ponieważ nie ceniliśmy pieniędzy, nie ceniliśmy czasu, który jest pieniądзом równowartościowy. Szafowaliśmy nim hojnie, może nawet zbyt hojnie. Skutki były takie, że niektóre ważne metody, odkładane na później, i później wprowadzone w życie, okazywały się już spóźnione. Poprostu czas ich przeminął i nowy czas, któryśmy im dali na usługę, „nie sprzyjał im“. Mówi się takie rzeczy łatwo. Ale skutki ich odczuwa się boleśnie. Kogóż jednak kiedykolwiek nauczył czegośkolwiek przykład? Przykłady rozwiązywane w szkole, nigdy nie chciały wychodzić. A przykłady, cytowane w życiu, nigdy nie dają się w zupełności zastosować. Więc i ja nie chcę dłużej mówić o tem, czem się skończyło to szafowanie czasem.



Wystarczy zresztą zupełnie, że będziemy mówili o naszym hojnym szafowaniu czasem w teraźniejszości.

Hojność ta sprawia, że mamy opinię najbardziej niepunktualnego narodu na świecie.

Och, aż nazbyt słusznie i sprawiedliwie!

Nie jestem lingwistką, ale nie przypominam sobie w innych językach odpowiedników naszego „piąta z minutami”...

Tak, na pytanie: „o której odchodzi pociąg?” otrzymujemy odpowiedź, że o takiej to godzinie „z minutami”... Mój Boże! jest w każdej godzinie tych minut sześćdziesiąt i zdawałoby się, że tam, gdzie jedna, pół, ćwierć, ba, dziesiąta część minuty stanowi o tem, czy zdążę na pociąg, czy nie zdążę, należałoby dawać i otrzymywać nieco dokładniejsze informacje. I gdybyż w ten nielogiczny i zwodni-czy sposób informował choćby cywil! nie! sama, na własne uszy słyszałam taką odpowiedź od urzędnika kolejowego na jednej z podmiejskich stacji (na obronę naszych kolei państwowych powiem, że było to nie na „prawdziwej” stacji, ale na stacyjce kolejki dojazdowej).

Taka „piąta z minutami” może być i z pewnością jest nieraz, źródłem wielu kłopotów i nawet katastrof życiowych. Prawda, nie nie broni mi nie zadowol-nić się taką odpowiedzią, zajrzeć do rozkładu jazdy, albo nawet domagać się dokładniejszej informacji. Ale, ponieważ sami nieraz mówimy o takiej „piątej z minutami” najczęściej na niej poprzestajemy. Że czasami potem w duchu przeklinamy — to inna sprawa.

Obok „piątej z minutami” występuje w Polsce jeszcze inne określenie czasu: „Między tą i tą”. Kiedy się spotkamy jutro? i gdzie?

„Może między dwunastą i pierwszą w cukierni na rogu”..., tu umawiający się wymienia jakiś róg.

Między dwunastą i pierwszą... Znowu rozpiętość sześćdziesięciu minut, których już nigdy, nigdy wbrew powiedzeniu „to się da nadrobić” nie dopędzimy, których nigdy już nie odzyskamy, bo wbrew innemu powiedzeniu są naprawdę, definitywnie i ostatecznie stracone!

Ale i to nie wszystko. Liczymy jeszcze na czas na „koło czwartej”. Tu rozpiętość jest jeszcze większa, bo sześćdziesiąt minut wstecz i naprzód. Przesa-da! powiecie. Koło czwartej, to przecież nie może być zaraz po trzeciej (też bardzo dokładne określenie czasu!) ani bliżej piątej!

Zaraz po trzeciej! bliżej piątej! I potem się dziwimy, że nie jesteśmy państwem bogatym (czy to zdziwienie jest uzasadnione, to inna sprawa!), kiedy tak lekkomyślnie szafujemy międzynarodową monetą — czasem!

To nieposzanowanie czasu jest klęską naszego życia publicznego i nieszczęściem życia domowego.

Nie wiem, czy jest na świecie tak znakomity rachmistrz, któryby potrafił porachować, ile czasu straciliśmy na wyczekiwanie po urzędach na załatwienie swojej sprawy! sama jestem urzędniczką, więc zdanie moje jest miarodajne!

Ale, z drugiej strony, tylko my, urzędnicy wie-

my, ile czasu tracimy przez klientów, którzy czegoś nie robią w przepisany terminie, albo z lekkim sercem, zamiast przyjść w umówiony dzień i na umówioną porę, samowolnie odłożą sobie załatwienie sprawy „tylko na jutro”.

A w życiu prywatnym...

Rodzina składa się z pięciu osób. Obiad jest wyznaczony na czwartą, bo wtedy wszyscy mogą i powinni być już w domu. Ale pan domu miał posiedzenie („nie mogłeś zatelefonować?!”), pani domu zapomniała przed wyjściem wydać wszystko, co potrzeba kucharce, Jędrrek zawagarował się w Łazienkach, Halusia zagałała się z koleżankami, Marychna na wołanie odpowiada „zaraz! zaraz! tylko skończę to zadanie...”

Biedna Marysia odgrzewa, podaje tak zwane „osóbki”, narzeka, zmywa do szóstej zamiast do piątej, spóźnia się z wieczorną kolacją, bo „tylko wyskoczyła do magla”, ale to wyskoczenie tym razem zabrało jej całe czterdzieści minut...

Wobec tego do teatryku poszło się nie na pierwsze, a na drugie przedstawienie, wobec czego na drugi dzień spóźniono się o „małe pięć minut”), to już określenie czysto warszawskie) do biura, wobec czego nietaktowny szef, i t. d. i t. d.

Ale są i większe zmartwienia.

Przez nieopatrzone w porę okna wdiera się zimowy chłód. Marysia myśli brzydkie rzeczy (czasami nawet mówi je półgłosem) za „takie gospodarkie”, bo teraz marzną jej ręce przy myciu szyb. Piec dymi, bo ciągle odkładano sprowadzenie zduna. Krawcowa szyje do szóstej rano, bo Marychna nie mogła się wcześniej zdecydować na fason sukienki, a musi być zrobiona na dzisiaj. Kuzynek, Edzio, stracił rok, bo zapóźno złożył podanie do Politechniki. Mademoiselle ma czerwony nos i narzeka na polskie porządki: tylko o dwa dni później podała o przedłużenie pozwolenia na pobyt i ma teraz trudności w starostwie... Na ojca słowo „przeliczenie” działa, jak czerwona płachta, bo gdyby w porę podał o to przeliczenie, nie straciłby i t. d. i t. p. Halusia spóźniła się tylko o jeden dzień (24 godziny — 1440 minut — 86.400 sekund) i przez to nie dostała jakiegś zniżki...

Myślicie, że ci ludzie, którym codziennie czas bezpowrotnie ucieka, którzy codziennie stwierdzają na własnej skórze, że nie mogą go odzyskać ani nadrobić, nigdy nie mówią: „nic straconego!” albo „to się da nadrobić”, albo „czas nie zajac, nie ucieknąć”, albo nie liczą na „parę minut”, a nie umawiają się na „trochę po czwartej” czy „koło piątej?”

Mylicie się. Nietylko tak mówią, ale nigdy nie mówią inaczej. A jeżeli wyrwie im się czasem „czas to pieniądz”, to stosują tę mądrość do innych, nigdy do siebie.

Co pani mówi, pani Redaktorko?! że to już nie optymizm, ale zwykła lekkomyślność?! ach, pani powiedziała „karygodna lekkomyślność?” I jeszcze co? ale woli pani nie powtarzać?...

Może... nie będę się sprzeczać o słowa...



EWĄ KÓCHANOWSKĄ

# MUSCULUS CORDIS

*Cuda dziś się już dzieją tylko na ekranie.*

*Życie — jak zwykle — płynie szaro i leniwie.*

*Nadaremnie, z tęsknotą czekasz jutra chciwie,*

*Co się dotąd nie stało — jutro się nie stanie.*

*Gotyckie średniowiecze w mrokach utonęło,*

*Usnęły czasy pana Cagliostro - Balsamo,*

*Tylko serce — przez wieki tętniące dynamo,*

*Dzisiaj czegoś boleśniej krwιά świeżą się wzdeło.*

*A przygoda?*

*Przygoda gdzieś się skryła w zakamarkach świata,*

*W substancji protoplazmy — za krawędzią ziemi,*

*Może w jej wnętrzu tryska źródłami wrzącymi,*

*Może srebrną torpedą w stratosferze lata.*

*A gdzie słońce?*

*Perversyjnie na tundrach arktycznych przysiadło,  
jak dzwon złoty się kłówa, jak lampion się chwieje.*

*Biedne serce pod kirem z crêpe-satin kostnieje,*

*Serce śmieszne — starego zegara mahadło.*

*Wynalazki się sypią z rogu obfitości —*

*Myśl ludzka je pochłania wielkimi haustami,*

*Tylko Musculus Cordis — z trojmi narowami*

*Jest wciąż tajemną księgą różnych zarwości.*

*Przygoda gdzieś się skryła uparcie i butnie.*

*Przepadła w głuchej kniei, w zawrotnej głębinie,*

*Dziś miłość — i przygodę — spotkasz tylko w kinie,*

*Na białym, prostokątnym, ekranowym płótnie.*



*Srebrna bajka.*

*(Fot. Poddębski.)*



# Kazimiera Iłakowiczówna

laureatką państwowej nagrody literackiej

Nareszcie! Największa polska poetka obecnej doby została uwieńczona przez państwo, swoje własne państwo, któremu służyła piórem od najmłodszej młodości, jeszcze wówczas, gdy to państwo chwilowo, bo zgórą stulecie, było nieobecne na mapie Europy. Później, podczas wielkiej wojny, służyła temu, w bólach rodzącemu się nanowo państwu, jako siostra miłosierdzia w czołówce polskiej na froncie rosyjskim, trzykrotnie dekorowana medalem św. Jerzego za waleczność. Z chwilą powstania Państwa Polskiego w 1918 roku wstępuje na służbę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a od roku 1926 jest sekretarką osobistą Marszałka Piłsudskiego, jako Ministra Spraw Wojskowych, jednocześnie zaś radcą M. S. Z. dla spraw propagandy.

W 1930 r. otrzymała nagrodę literacką miasta Wilna. W r. 1935 została desygnowana na członka Polskiej Akademii Literatury, odmówiła jednak przyjęcia tego stanowiska wobec niemożności pogodzenia pracy w Akademii z zajęciami urzędowymi. W roku ubiegłym odznaczona została krzyżem oficerskim „Polonia Restituta”.

Pierwszy zbiór jej poezji nosił tytuł „Ikarowe loty” i ukazał się w 1912 r. Następnie poszły: „Wici”, „Trzy struny”, „Kolędy polskiej biedy”, „Historja o królewiczu Za-Fi-Czanie”, „Śmierć Feniksa”, „Rymy Dziecięce”, „Połów”, „Obrazy Imion Wróżebne”, „Opowieść o Moskiewskim Męczeństwie”, „Z głębi serca”, „Zwierciadło Nocy”, „Płaczący Ptak”, „Popiół i Perły”, przekład „Don Carlesa” Schillera, „Wesołe Wierszyki” i „Ballady Bohaterskie”. O wszystkich tych zbiorach z wyjątkiem ostatniego ukazywały się, na łamach „Bluszcza” obszernie artykuły, rozpatrujące poszczególne utwory poetki pod kątem widzenia syntetyczno - analitycznym, zawsze z uwzględnieniem całokształtu jej twórczości.

Dziesięć lat temu „Bluszc” poraz pierwszy umieścił obszerniejsze studjum o Iłakowiczównie pióra niżej podpisanej p. t.: „Od liryki do epiki, od weltszmercu do dogmatu”. Opierając się przede wszystkim na utworach poetki, potem na jej osobistych wynurzeniach (sformułowanych przez nią w wywiadzie, zamieszczonym jednocześnie w r. 1926 w „Wiadomościach Literackich”) wreszcie posługuje się własną intuicją, autorka już w tytule zakreślała tę wspianą parabolę, jaką twórczość Iłakowiczówny przebiegała od zarania do chwili obecnej.

*Od liryki do epiki* — od osobistych wzlotów, tęsknoty, wspomnień, przeczuć, buntów, ciosów, zmartwychwstań „Ikarowych lotów”, „Połowu”, „Z głębi serca”, „Zwierciadła nocy”, „Płaczącego Ptaka”, „Popiołu i pereł” jakaż

stroma, ale tryumfalna droga prowadzi do „Opowieści o Moskiewskim Męczeństwie”, do „Legend o świętych”, do „Ballad bohaterskich”. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy wyżej stawiali epikę Iłakowiczówny od liryki. Nie! ale chodzi tu o tę wewnętrzną moc zwycięstwa nad duchową siłą ciężenia, przyciągania, bezwładu. Kult cierpienia bezpłodnego, spalającego się samo w sobie, skłonność do samoudręczenia przekuć na kult siły, bohaterstwa, ofiary mężnej i celowej, oto droga od weltszmercu do dogmatu, od sceptycyzmu do wiary, od samotności do społecznienia, od kontemplacji do czynu budującego.

Dziesięć lat temu poraz pierwszy rozmawiałam dłużej z Iłakowiczówną o jej poezji. Było to zimą, wkrótce po świętach Bożego Narodzenia, w pokoju sublokatorskim przy ul. Brackiej, w któ-

rym wówczas mieszkała. Dzisiaj jest o tyle lepiej, że ma osobne mieszkanie, ale nie ma w niem ciszy.

„Przez litość! dajcie mi miejsce osobne przy źródłu”. To westchnienie poetki w jednym z jej utworów, pochodzi naprawdę z głębi serca, z głębi wielu, wielu serc braci literackiej...

W motywach sądu konkursowego nagrody literackiej ministra W. R. i O. P. powiedziano, że „sąd konkursowy występuje z wnioskiem o przyznanie nagrody Kazimierze Iłakowiczównie, biorąc pod uwagę oryginalność jej twórczości lirycznej, bogatą skalę motywów jej twórczości oraz wydatne wzbogacenie form metrycznych”. Brzmi to bardzo sucho i urzędowo, jak ocena szkolna. Trudno! tego wymaga prawdopodobnie oficjalna formalistyka. We wszystkich trzech punktach mówi się o bogactwie. Zaiste! któż jak nie poeci, zasila najwydatniej skarb narodu, żelazny kapitał piękna, natchnienia, entuzjazmu i pociechy.

Twórczość Iłakowiczówny, pomimo swego pozorowego egzotyzmu i egotyzmu tak nam bliska, własna, bijąca zgodnie z kamertonem naszych serc, wykracza daleko poza ramy konkursowej definicji.

Na terenie twórczości Iłakowiczówny, podobnie, jak na ziemi naszej krzyżują się dwa przeciwne prądy: Wschód i Zachód, Litwa i Korona, bizantyńska hieratyczność i latyński romantyzm, orjentalna fantazja i skandynawska posępność, Ormuzd i Ary-



Kazimiera Iłakowiczówna.



man, światło i mrok. Skrzyżowanie to bolesne, można je śmiało nazwać skrzyżowaniem mieczy. Pieśń Iłakowiczówny spływa z klingi jak krew, jest tragiczna, daleka od apollińskiej pogody. Nieśmiertelne potomstwo Prometeusza i Hioba.

Puszkowskiemu „Prorokowi” anioł położył na wargi węgiel płonący. Ten ogień pali i oczyszcza twórcę, opromienia jego twór, olśniewa czytelnika

I sam w sobie jest najokrutniejszą męką, najwyższą rozkoszą, najwyższą nagrodą.

Jako uzupełnienie powyższego artykułu podajemy laskawie użyte „Bluszczowi” przez poetkę jej przemówienie po wręczeniu jej nagrody lit. miasta Wilna. Jest to niesłychanie ciekawy przyczynek do biografii i charakterystyki Iłakowiczówny, jej stosunku do własnej twórczości, do czytelnika, do Wilna, do nagród literackich wogóle. Stefanja Podhorska Okolów.

## Przemówienie pierwszej laureatki miasta Wilna

Kazimierzy Iłakowiczówny z dnia 8 marca 1930 r. na uroczystym posiedzeniu Rady Miejskiej

Szanowni Państwo!

Kiedy człowiek do głośniejszych nienarowykły, a od publicznych występów starannie stroniący otrzymuje od tak dostojnego grona i wobec tylu znawców — niejako patent na wielki talent — człowiek taki, Szanowni Państwo, najchętniej radby się schował w mysia dziurę.

Gdybym była kimś naprawdę zasłużonym, to jest kimś, kto w ciężkim trudzie spełnił wielki czyn, dopomógł do zbawienia kraju, walczył o jego niepodległość, lub chociażby uratował cudze życie z narażeniem własnego — wówczas zaszczyt i aplauz, jakie mnie spotykają, napelnilyby mnie dumą i wzmożeniem poczucia własnej wartości. Niestety jest inaczej..

Nietylko, że nie spełniłam nic trudnego, ani niebezpiecznego, ale nawet nie napracowałam się zbytnio. Mój trud, moja praca, moje niebezpieczeństwa leżały na innych drogach, na drogach, o których nikt nie wie, tak jak się przeważnie nie wie nic o życiu prywatnym choćby bardzo intensywnie żyjącego osobnika.

Natomiast poezja była zbytkiem mego życia, tak jak nim bywa kolor lub dźwięk głosu, albo uroda. Dar taki — to przypadek, to wynik tysiąca okoliczności, owoc istnienia wielu pokoleń, rezultat trudów, cierpień i przeżyć nie moich. I dlatego zamiast rosnąć z poczucia słusznie ocenionej wartości, kurczę się ze wstydu. Bo, proszę Pań i Panów, pisanie poezji przychodzi mi łatwo, to jest wogóle to, co mi najłatwiej w życiu przychodzi.

Ja nie twierdzę, że na żadną nagrodę nigdy nie zasługiwałam, ale, jeśli zasługiwałam na nią, to za mnie, trudniejsze rzeczy... Choćby za tę odwagę, z jaką dziś tutaj przed Państwem stoję, gdy nienagrodzonych jest napemno tylu, tylu godniejszych odemnie. Są przecież autorzy, którzy pisząc — pracują, mają na myśli jakieś wzniosłe cele, chcą przynieść ludziom ulgę, krajowi pożytek. Udać się tym naprawdę użytecznym pisarzom niejedno zło zmienić, niejedno dobro przeprowadzić.

Bóg widzi, że ja pisałam poprostu, bo mi to robiło przyjemność, lub przynosiło pociechę. Myślałam pisząc tylko o sobie. Ponieważ z zawodu jestem nie literatem tylko urzędnikiem, nie mogę nawet powiedzieć, abym przykładała była jakąś specjalną wagę do swoich wierszy. Dopiero dwa i pół lata temu, kiedy na skutek wielokrotnych zaproszeń wreszcie zdecydowałam się odwiedzić Wilno, którego nie znałam, mimo, że się tutaj urodziłam, uderzyło mnie w najwyższym stopniu to gorące powitanie, jakiego tutaj doznałam i ta powaga, z jaką śmiało znawcy, których wykładów o mnie przyszło mi słuchać, mówili o mojej działalności pisarskiej.

Okazało się, że są setki ludzi, którzy nie tylko czytają moje wiersze, ale zastanawiają się nad nimi, ale lubią je naprawdę, tak jak książki innych pisarzy, których w odróżnieniu od siebie samej zwykłam była nazywać „prawdziwymi” pisarzami. Poczulem, że przypadkiem weszłam do historii literatury, ja, która

nigdy żadnej historii literatury do końca przeczytać nie mogłam.

I dzisiaj widzicie mnie tutaj Państwo do głębi serca wdzięczną i jednocześnie szalenie skonfundowaną. Gdyby jakieś leśne coś, modrost, purchawka, żuk — nagle zostało odnalezione, zakwalifikowane na wystawę, wystawione i nagrodzone — podobnieby się to coś czuło, jak ja dzisiaj. Zdziwione i nie poczuwające się do żadnej zasługi, bo rosło, jak je Pan Bóg stworzył, do niczego się nie naginając.

Dotąd mówiłam wyłącznie o moim zawstydzeniu, bo to był istotnie mój pierwszy odruch w stosunku do nagrody wileńskiej, odruch mywołany błyskawicznym rachunkiem sumienia. Nad nim jednak góruje rzecz inna, uczucie głębokiej wdzięczności. Od tylu już lat nie doznałam od nikogo żadnej pomocy. Tak się bowiem złożyło, że bliskich właściwie od urodzenia prawie nie miałam. Od siedemnastego roku życia radziłam sobie sama, a nigdy mi to nie przychodziło z łatwością.

O mało co nie przypłaciłam życiem wielkiej wojny, ledwie uszłam z ród fali bolszewickiej, we wskrzeszonej Polsce z największym trudem przegryzałam się przez głodne i nędzne początki Państwa. O losie kobiety pracującej na własną rękę, chodzącej luzem, napisano foljały. Ja wiem najlepiej — jak ciężko jest osiągnąć takie stanowisko, jak trudno — ostać się przy nim, jakie ciernie człowiek sam ze siebie produkuje w nieznośnym wysiłku codziennego życia.

Otóż to było błogostanie Boże nademną, może modlitwy moich zmarłych — produkowałam, nie tylko ciernie, ale i kwiaty... A kwiaty zaczęłam sprzedawać. I te miersze, wynoszące na sprzedaż, jak kwiaty albo owoce, zaczęły iść dobrze, coraz lepiej. Nie wiem, dlaczego ma być wstydliwą rzeczą mówić o sprzedaży wierszy. Czy jest czemś gorszym sprzedawać wiersze, niż sprzedawać zboże, albo bydło. Możliwość pisania ich odczuwałam jako prawdziwą łaskę Bożą, opiekę Opatrzności nad moim trudnym i komplikowanym życiem.

Jako dalszy objaw tej opieki zaskoczyła mnie nagroda Wileńska... Nagle, i to właśnie w parę dni potem, kiedy dowiedziałam się od doktora, że dla zdrowia muszę koniecznie trochę mniej pracować — przyszła depesza p. Prezydenta Miasta Wilna. I pomyślałam sobie: Mój Boże, oto byłam taka już samiotka jedna, tak się znikąd niczego nie spodziewałam, tak już gwałtownie obciążałam dwumiesięcznymi pożyczkami! A tu nagle — pomoc. I nie od obcych, ale od swego własnego miasta, od którego i przyjąć nie wstyd, bo swoje.

I pomyślałam sobie jeszcze: Już odtąd będę naprawdę, serjo pisała. A potem, wstyd powiedzieć wobec tylu poważnych ludzi — poszłam i obstałam sobie na kredyt białą balonową suknię, taką, jakiej sobie od piętnastu lat życzyłam.

Panie Prezydencie, Panowie Radni, Szanowny Komitecie i laskami państwo Wileńanie, Bóg mam zapłać.



Moje wileńskie dzieciństwo<sup>\*)</sup>

Wilja pod Wilnem

(fot. Poddębski)

„Przedruk, przekład, użytek w Radiu wzbronione. Dla mędractwa pedagogicznych własność Ossolineum“.

## I.

Kiedy byłam maleńką, tak małą, że się zwykle z tego wieku nic a nic nie pamięta, mieszkałam z mamą i starszą siostrzyczką w Wilnie. Mama była bardzo uboga, dawała lekcje i z tego żyłyśmy we trzy ze starą niańką naszą Kazimierzową. Mama umiała po francusku, po niemiecku, po rosyjsku, po łacinie i po grecku. Dawała także lekcje muzyki i śpiewu. Została nazawsze młoda, bo kiedy umarła, miała lat dwadzieścia osiem.

## II.

Mieszkałyśmy na poddaszu. Nigdy nie zapomnę bębnienia deszczu i gradu po blachach dachu. Dlatego zapewne, że hałas ten był tak głośny, wyrosłam w przekonaniu, że pamiętam z epoki najmłodszego dzieciństwa, jak w Wilnie padał grad z kamieni. Pamiętam — ale któż mi przyświadczy? — jak stałam na brukowych okrągłakach na dziedzińcu w straszliwą ulewę z piorunami. Chroniłam się z nianią do jakichś drzwi na lewo i bardzo się lękałam spadającego deszczu, złożonego ze żwiru i kamyków wielkości kostek cukru. „Czy to grad, Babo?“ pytałam. „Nie, Dzidzieńka“, odpowiadała Kazimierzowa i prze-

żegnała się pobożnie, „nie grad to, a deszcz kamienny. Ach, ty Boże mój Boże! musieć koniec świata niedaleczko“.

## III.

Jeszcze jedno mocne wspomnienie zostało mi z tego poddasza. Obudził nas wszystkie wśród nocy okropny wrzask, ujadanie, skowyty. Mama była równie zalękniona jak my, tylko Kazimierzowa spała twardo i nie obudziła się wcale. „Co to jest, mammo?“ pytałyśmy, pozłaziwszy z łóżek i przygarnięte przez mamę. „Ach, jakie to okropne“, powiedziała mama drżąc cała, „to psy zagryzają kota, a my nie nie możemy pomóc“... Pamiętam ulgę, z jaką zasnęłam, kiedy nagle zapadła cisza. Odtąd przez całe życie nie opuścił mnie specjalny sentyment dla kotów, mieszanina litości i poczucia winy, zapewne wobec tego pierwszego kota, którego nie obroniłam od męczeńskiej śmierci w tę wileńską noc.

## IV.

Baba Kazimierzowa miała mnóstwo fałdzistych spódnic, kaftanik nosiła wyciągnięty na wierzch, na głowę chustki. Jako okrycie też miała dużą kraciastą chustę. Nazywałyśmy ją — wstyd powiedzieć — Ba-La Jaga, za co ona zresztą się nie gniewała. Za wiele innych rzeczy za to gniewała się bardzo, bo byłam — ja specjalnie — bardzo niegrzeczna. Uciekałam jej na ulicy. Ulica szła wzdłuż rzeki Wilji. Rzeka pły-

<sup>\*)</sup> Drukowane w z. r. w „Pionie“.



nięta rwąca, ciemna, nieprzezroczysta. Chodniki były poprzerywane rowkami, mostkami, wyrwami. Po ulicach przechodziły krowy, dużo było kóz. Między kamieniami rosło zielsko, które kwitło zwykle żółto. Było więc wiele urozmaicenia dla dwuletniego dziecka i niejedna sposobność do przygód.

#### V.

Chodziłyśmy z Babą Jagą na jakieś urwiste osypiska. Był tam piasek, piasek, piasek, pospinany tu i ówdzie sosenkami. Może te urwiska wcale takie wysokie nie były, ale ja pamiętam, że były bardzo wysokie, bardzo strome i bardzo piaszczyste. Dużo jest takich osypistych urwisk w Wilnie i dookoła Wilna. U góry stał las, na zboczach były te mizerne sosenki, a na dole pędziła rwąca rzeka. W snach prześladował mnie długo zawrót głowy, chwytający mnie właśnie na szczycie takiego urwistego osypiska. Stoję, u dołu szumi rwąca, głęboka rzeka, osypisko jest bardzo strome. I wiem, że za chwilę spadnę, potoczę się wzdłuż prostopadłej suchej od piasku ściany i nie skończę się toczyć aż na dnie rzeki.

Ale jako dwuletnia dzidzia nie spadłam nigdy, tylko dręczyłam Kazimierzową różnemi figlami. Jednym z najgorszych figlów było polykanie kamieni powybieganych z piasku. Daleko później dopiero dowiedziałam się, że czynią to samo strusie i że jest to rzecz bardzo niebezpieczna dla zdrowia. Mnie one nie zaszkodziły.

#### VI.

Kazimierzowa umiała bajki. Wabiła mnie do łóżka, kiedy wierzgałam i wrzeszczałam wieczorem przed pójściem spać i wywabiała z łóżka rano, kiedy nie chciałam go opuszczać dla skąpo opalonego pokoju. Nie wiem, o czym one były, musiały jednak być

bardzo piękne. Trochę mi się majaczy jedna o cudownej krowie, która mówiła ludzkim głosem. Zły los spotkał krowę, bo ją zarżnięto. Ale z jej wnętrzości, zakopanych na podwórku, urodziła się studzienka pełna wina, ze złotym kubkiem pływającym po wierzchu, a z jej rogów, zakopanych tuż obok, wyrosło cudowne drzewko, pokryte rajskim owocem. Zapach tego owocu i tego wina ściągnął pięknego królewicza ze swiątą do zagrody biednej Marysi. A macocha pękła ze złości, co jest naturalne i wcale mnie nie zdziwiło. Bajki przez długi okres mego życia były czemś najpiękniejszym, co istnieć mogło.

Ale Baba umiała też prześliczną kołysankę białoruską, tylko że ja nie wiedziałam o tem, że to białoruska kołysanka:

„Szoł baj po ścianie  
w czerwanóm kaftanie  
Nios szëściaro par łapciëj:  
dla siebià dla żeny  
i dzieciönku po łapciönku.  
Ci baj, ci nie?”

Mówiło się „tak” albo „nie” i wszystko się zaczynało na nowo.

„Ty mówisz tak, ja mówię nie.  
Szoł baj po ścianie...”

Albo:

„Ja mówię tak, ty mówisz nie.  
Szoł baj po ścianie...”

Powtarzanie tej historii bez końca z wieczną nadzieją, że się przecież coś zmieni, że będzie inna jakaś, trzecia, nieznana odpowiedź na pytanie „Ci baj, ci nie?” — to była zawsze nowa, gwałtownie wzruszająca rozrywka.

(c. d. n.)



Góra Trykryzyska

(fot. Poddębski)



# M G Ł A

Była mgła. Jesienna. Gęstniała z godziny na godzinę, z minuty na minutę. Gdy pani prokuratorowa wyszła ze swego nowego mieszkania, które zajmowała od czasu rozejścia się z mężem, lekki, sinopopielaty welon zacierał dopiero kontury dalszych domów i łagodnie falował nad dachami. Ale nie zdążyła dojść do tramwajowego przystanku, gdy mgła straciła łagodność, przeobraziła się w polipa, w mech, w szarańczę, w powódź i jęła co sił obrastać miasto białą pleśnią. Czepiała się gzymsów, owijała latarnie, kuciała na środku jezdni, białe - szaremi tobołami przywalała od wierzchu korony drzew.

Pani prokuratorowa przestraszyła się. Wydało jej się nagle rzeczą wysoce niebezpieczną iść na randkę z mężem, którą sama zainicjowała. Dziś o szóstej wracał kochanek, pani postanowiła uprzedzić spotkanie mężczyzny, wy badać sytuację, stwierdzić, czy w dalszym ciągu mąż jej trwa w postanowieniu nieudzielenia zgody na rozwód.

Mgła rosła ze wszystkich stron, waliła tumanami, nagle zniknął przystanek, zniknęli współloczujący na tramwaj i pani spostrzegła, że jest sama we mgle.

Przypominała sobie, że jej pobłażliwego męża jakaś gazeta nazwała krwiożerczym sadystą, i postanowiła nie spotykać się z nim inaczej, jak tylko w towarzystwie któregoś z przyjaciół.

Gdy pewnego razu, w kilka miesięcy po ślubie, jego mała, śmieszna żona, którą wyrwał z moczarów mieszczańskiego środowiska i niby ciekawym okaz osadził w swym wielopokojowym, przepełnionym, dywanami, lustrami o obrazami, akwarjum — gdy pewnego razu zasiedziawszy się u tej właśnie przyjaciółki, po którą teraz postanowiła wstąpić, wróciła po północy do domu, wziął ją na ręce, od razu w przedpokoju i nie pozwalając na żadne tłumaczenia, razem z botami i kapeluszem zaniosł do sypialni.

— Gdzieś była maleńka — rzekł cicho. — Ale ja nie jestem zazdrosny. To dobre u mieszczan. A teraz — trochę słodczy dla męża.

Mała prokuratorowa z przerażeniem skonstatowała wtedy, że mąż istotnie, przynajmniej na punkcie zazdrości, był najzupełniej „wyzwolonym” człowiekiem. Kochał ją czulej, niż kiedykolwiek. A ona nie mogła go już kochać. Łysy wierzch jego czaszki, która dotąd uwodziła ją swym imponującym arystokratycznym kształtem, wydał jej się naraz podobny do porcelanowego wnętrza spluwaczki, zauważonej w sali sadowej przed rokiem i nie wspomnianej aż do tej chwili.

Prokuratorowa przekonała się wkrótce, że pozycje z człowiekiem, przypominającym spluwaczkę, choćby był najbardziej nawet arystokratyczny, władczy i bogaty — jest wysoce nieprzyjemne.

Spoglądała na niego niekiedy szeroko rozwartymi, niebieskimi oczami, a gdy zbliżał się, podnosi-

ła dłoń, zwinioną w bezsilną pięść, ku swej twarzy, o krótkim jak u kota podbródku, i zgiętym palcem wskazującym przyciskała dolną wargę.

— Co tak służysz przedemną? — spytał kiedyś mąż.

Prokuratorowa prędko opuściła rękę. Istotnie gest jej przypominał służenie małego pieska, w którym prośba o litość walczy ze strachem.

— Nienawidzisz mnie? — spytał mąż. I oczy jego zaświeciły mokro, jakby w każdą ciemno - burą tęczę spadła z mózgu jedna kropla krwi.

— Ależ nie — wyszeptała pani.

— Wstrętny ci jestem?

Teraz nie zaprzeczyła. Podniosła już nie jedną, ale obie ręce ku twarzy i zapłakała.

— No, no — głaskał ją po głowie — ja się przecież nie gniewam, ja cię kocham...

I naprawdę kochał ją — ale nagle, w którejś chwili, prokuratorowa wyslizgnęła się jednym rzutem z objęć męża i uciekła do łazienki przez śliskie, lodowate posadzki.

Tam przesiedziała do obiadu, owinięta tylko ręcznikiem, dygocąc, kamienna podłoga parzyła nagie stopy.

Nikt jej nie przeszkadzał. W mieszkaniu było cicho i zwyczajnie. Po obiedzie podano ananasy.

— Twój przysmak — rzekł mąż. — Specjalnie posyłałem.

Pani podniosła głowę z nad talerza. Oczy ich się spotkały. Prokurator uśmiechał się, oblizując uważnie wargi. Na wargach lśnił tłuszcz. Pani nie dokończyła obiadu. Zrobiło się jej niedobrze. Długo, powoli, piła wodę w kuchni z blaszanego kubka służących, wspierając się ręką o ścianę.

Ściana była gładka, zimna. W kuchence jej rodziców ściany były chropawe jak skóra trędowatych. Olejna farba, pozwijana w ruloniki, zwisała, łuszczyła się brudnymi strupami. O, jak tam było duszno, tam, skąd przysłała! Wyleniałe sofy, wylisiali wujaszki, przypalone tłuszcze, zatłaczony zew. Ale tu też było duszno. Obmierzłe duszno od lśniących ścian, od lśniących warg, od cichych stąpania służby, od głosów dzwonka, od luster, dywanów i spluwaczek.

— Musimy się rozwieść — oznajmiła.

— Skądże takie pomysły? — Uśmiechał się i teraz. Podeszedł do niej. Dotknął jej ramienia białym palcem, otoczonym grubym złotem obrączki. Na palcu migotało od niegów. Jakby obrączka gotując się, rozpryskiwała złoto na ręce.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła.

Posłusznie, z rycerskim ukłonem, odstąpił o krok.

— Tak bardzo jestem ci wstrętny?

Pani milczała. Dłużej, niż kiedykolwiek. Dłużej, niż jest to możliwe dla takiej małej, głupiej, śmiesznej pani.

— Zabiję cię, jeśli mnie dotkniesz...



Uśmiechał się.

Spotykali się tylko przy stole. Mieszkanie było dość duże, by mogli tylko przy stole się spotykać. Ale nagle pani i tego nie mogła.

— Nie masz ostatnio apetytu — stwierdził. Milczała. A może i w głosie jego było jakby radosne niedowierzanie. — Może to także ze wstrętu do mnie?

Uciekła.

Jeśli przypadkiem spotkali się w korytarzu, mijali się jak obcy. Prokurator kłaniał się z rewerencją obcej, ładnej, wystraszonej kobiecie, która bezradnie płatała się po jego mieszkaniu, nie mogąc zostać, nie umiając odejść.

— Dlaczego nie chcesz mi dać rozwodu — spytała kiedyś, w przejściu w korytarzu, nie patrząc na niego.

— Dlatego, że jestem religijny — odrzekł tym samym tonem.

Co rano i co wieczór, klęcząc na niedźwiedziej skórze przed swym łóżem, odmawiał długie pacierze.

Panią zawsze dziwił i straszył widok ogromnego, roznegliżowanego mężczyzny w tak dziwnej pozie szepczącego coś. Mężczyźni jej środowiska, w przeciwieństwie do bigoteryjnych kobiet, byli przeważnie areligijni.

Pewnego dnia, niewiadomo dlaczego, nigdy nie wiedziała poco i dlaczego, szła gdzieś lub nie szła, kochała lub nienawidziła, pani poszła do sądu. Było to drugi raz od czasu, jak została żoną prokuratora. To znaczy od dwu lat. Przy pierwszej bytności porcelanowa spluwaczka odkryła jej coś z niezbadanych głębi duszy mężowskiej. Przy drugiej, zakochała się w obrońcy, w człowieku, który walczył z jej mężem, który publicznie, każdym słowem, każdym spojrzeniem okazywał mu swą pogardę.

Pani mało co rozumiała z rozprawy, nie orjentowała się absolutnie ani w tem, po czyjej stronie leży słusność, ani w tem, dlaczego, w imię czego, obrońca zwalczał prokuratora. Wystarczyło jej, że go zwalczał, jak ona nie potrafiła, że nim pogardzał tak samo, jak ona. Po przemowie obrońców, podczas przerwy, rodziny oskarżonych obstępowały adwokatów, dopytując się, dziękując, błagając o coś. Prokuratorowa wmieszała się między matki o gderliwych, zwiędłych wargach, między przesadnie eleganckie zakieciki, bluzeczki sióstr i narzeczonych. Były to kobiety jej środowiska, znała je, znała te zakieciki futrzane, odświeżane co roku, co roku oddawane do naprawy. Dokupywało się po skórze, sztukowało się, tak długo zastępowało nowym skrawkiem stary skrawek, że po pięciu latach, zakieciki byłyby naprawdę zupełnie nowe, gdyby nie to, że wierzch rękawów miał już 5 lat, a spód kołnierza 4.

Wmieszała się między nie, wpatrzyła się tak natarczywie w adwokata, że i on ją spostrzegł. I gdy tłum zrzędlł, gdy ci, co załatwili swe prośby, odstępili, zdarzyło się, że skoro gruba staruszka w wypiekach poczęła żegnać adwokata, powtarzając drżącym głosem: dziękuję, bardzo dziękuję — prokuratorowa znalazła się oko w oko ze zwycięskim wrogiem swego męża.

Patrzył wyczekująco, ona cofnęła się trochę,

jakby chciała uciec, a potem zabrzmiał dzwonek, korytarz zapełnił się spieszącymi ludźmi i pełna nagłej odwagi, powiedziała prokuratorowi, naśladując tamtą staruszkę, jak ona potrząsając ręką obrońcy:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

— Czy pani jest krewną?

— Tak. Jestem krewna — odrzekła pani.

Rozstali się na całe godziny ostatniego słowa oskarżonych. Prokuratorowa nie słyszała naturalnie nic. Wpatrywała się w twarz obrońcy, wydała się jej piękna, tyle było siły i dumy w tej twarzy.

Nie spuszczał oka z przemawiających. Interesowało go to najwidoczniej żywo. Marszczył nieraz brwi, kilka razy z aprobatą kiwał głową. Pani bardzo była zdziwiona, że zamiast nią, ten wspaniały, zachwały mężczyzna (ośmielił się walczyć z jej mężem) interesuje się wynędzniałymi, prostymi, niezdarznie się wyrażającymi przestępcami. No cóż, zainteresowanie zawodowe — pomyślała pobłaźliwie. Jej mąż też przecież godzinami potrafił opowiadać o tak zwanych „chwytach“, o tych swoich chwytach, którymi „bez zawodu“ kładł na obie łopatki najbardziej cwane obrońcy, pesząc i demaskując zbrodniarza...

— No, nie zupełnie „bez zawodu“ — pomyślała pani.

Spostrzegła ze zdziwieniem coś, jak podobieństwo, między proletariuszami z ławy oskarżonych a obrońcą. Coś twardego, nieustępliwego biło z ich słów, twarzy. Pomyślała, że być może, adwokat jest ich krewnym. No cóż, ubodzy krewni, ona też takich miała...

Wreszcie skończyło się. Wstała prędko. Spojrzanie jej spotkało mocne, jasne spojrzenie obrońcy. Wyszli razem. Długo szli w milczeniu. Prokuratorowa płatała się nieporadnie w długim płaszczu fokowym. Czuła się mała, głupia, zgubiona. Jakby nie była prokuratorową lecz uczennicą, zagrożoną przy promocji, albo, jeszcze lepiej, jedną z tych tam, jedną z sióstr, żon, w futrzanej kurteczce, w bluzce pranej wieczorem, po powrocie z pracy, aby świeżutka, jak nowa, była na jutro.

— Pani... jest dalszą krewną? — spytał wreszcie mężczyzna.

— Nie, nie — rzekła cicho prokuratorowa.

Chciała powiedzieć prawdę. Zamilkła. Padał śnieg. Prokuratorowa poślizgnęła się, uczepliła się rękawa obrońcy, i powiedziała nagle, podnosząc w górę oczy, niebieskie, przestraszone, bezradne:

— W jaki sposób można dostać rozwód?

— Rozwód?

Pani milczała. Chciało jej się płakać. Postępowała jak warjotka. Nienawidziła swego męża. Potrafiłaby go zabić nieraz. Ale to co robiła, było gorsze, bezsensowniejsze, niż morderstwo. W jego mniemaniu, napewno. Ona nauczyła się sądzić jego kategorjami. Kompromitowała go.

— Rozwód? — powtórzył adwokat.

Usiłował zajrzeć w oczy, w twarz tej dziwnej, nieporadnej istotce, która, potykając się, słaba, roz-targniona, płatała się u jego boku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# „Babuńcia”

Doskonale ogrzany pokój pełen jest jakiejś mlecznej białości. To od śniegu, zalegającego rozległy plac za ogrodem, od białości ścian i siwych włosów „babuńci”. Zrywa się prędko na powitanie, podbiega żywo i słucha prezentacji. I zaraz wchodzi w rolę pani domu.

— Proszę, niech pani siada. O nie, nie tu. Na fotelu. Pani jest gościem. Ja usiądę na krześle — mówi kategorycznie i nie ustępuje.

Oczy patrzą w jej oczy bystre, rozumne. Obejmują szczupłą postać, ubraną tak bardzo starannie w ciepły szlafrok z białym kołnierzykiem i żabotem. Wpatrują się w twarz poorly brózdami lat, a mimo to pełną ujmującego wdzięku. I coś tam w sercu porusza się i taje. Obmyślane zgóry, ciekawe (może natarczywe nawet) pytania, zamierają na ustach. Ołówek ciicho wypada z ręki na czystą kartkę papieru.

„Babuńcia” patrzy badawczo. I nagle z wielką uprzejmością zaczyna sama mówić:

— Pani wie, jestem najstarszą weteranką w Schronisku. Mam 94 lata. Nazwisko moje Marja Fabjanowska. Ach, pani pamięta? No, to powiem dalej. Wychowywałam się w Warszawie, w domu mojego stryja. Spalili mu dom na hasło w 1830 r. Potem miał rządową posadę. To było jego utrzymanie. I w powstaniu nie mógł brać udziału. Ale pomagał, pomagał. Ciągłe dawał dużo pieniędzy, rubli srebrnych i półrubli. I zawsze mówił: „rób wszystko, tylko nazwiska nie mów”.

— Więc w domu był taki ukryty, ciemny pokój. To myśmy tam pracowały. Było nas razem 6 panienek. Skubałyśmy szarpie, szyły płócienne „rańce”. Szykowały paczki. To się posyłało do lasów. I pieniądze zbierały-

my. A jakże. To jakieśmy wysypały z płóciennego worka na dywan, to była taka duża góra do kolan, samego srebra. Raz jechałam dorożką pełną paczek i było zbiegowisko. Myślałam, że mnie złapią. Ale mój znajomy chłopiec zajął miejsce w dorożce, a mnie kazał uciekać. Ale po paru godzinach dowiózł wszystko do pałacu Zamoyskiego, do pokoju Nr. 5.

Przerywa na chwilę, uśmiecha się zlekka i mówi dalej:

— Kiedyś miałam takie guzy od nahajek, jak śliwki. Wychodziliśmy z kościoła Ś-go Krzyża z karkadkami i śpiewami. To nas gonili i tak bili za te śpiewy i za karkadki. Potem trzeba było wozić prowianty do Cytadeli dla powstańców. To ja zawsze jeździłam dorożką. Nic się nie bałam. Stryj mi dawał pełne kieszenie pieniędzy. Dawałam żandarmom łapówki. To już mnie znali i lubili.

I z Moskalami trzeba było rozmawiać i znać się, bo byli potrzebni. Żandarmi machali tylko ręką, jak mnie zobaczyli i puszczały. Doręczałam aresztowanym wszystko, co było potrzeba.

„Babuńcia” zrywa się nagle z krzesła, biegnie do szafy i przynosi wydobytą fotografię:

— O widzi pani. To ja i moje współpracowniczki.

Z fotografii patrzą poważne, spokojne oczy trzech młodych kobiet. Włosy rozdzielone, nisko upięte, ręce skrzyżowane na szerokich krynolinach.

— Miałam fotografię w kontuszu. I kontusz miałam. Ale przepraszam, że tak powiem, to mi kontusz zabrali.

Szuka „babuńcia” w pamięci szczegółów zagubienia tej fotografii i tego kontusza, ale jakoś nie może znaleźć. Więc pytanie:

— Pani była długo na Litwie?

— O tak, nie byłam w Polsce 63 lata. Z początku to dawałam paniom litewskim wskazówki. Bo tam powstanie trwało dłużej. A potem była praca dobroczynna i oświatowa zawsze dla Polski. Pilnowałam polityki. I miałam taką służącą 30 lat, to ona mi mówiła: „co pani ma z tej polityki? Tak pani ciężko”.

Miałam męża i pracowaliśmy w dużym interesie handlowym w Kownie. Jak Herse tu. Dwoje dzieci mi umarło. A po wojnie, po powrocie do Kowna z Tomska, gdzie nas wojna zagnała, to mi uczennice ułatwiały zamieszkanie i odzyskanie rzeczy. Tacy wszyscy byli dla mnie dobrzy, bardzo dobrzy, bardzo dobrzy. Przez wiele, wiele lat miałam polską stołownię. Z tego się utrzymywałam. Polacy mnie popierali, a nawet i Litwini. Był taki jeden pokój, gdzie mogli sobie spokojnie posiedzieć



Marja Fabjanowska (pośrodku) z siostrą i kuzynką.  
Fotografja z czasów porostaniowych.



Wszystkim naszym Szanownym Współpracownikom, Korespondentkom i Czytelniczkom przypominamy, że drobnych rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

Osoby pragnące uzyskać zwrót rękopisu, powinny do niego dołączyć odpowiednią ilość znaczków na odrrotną przesyłkę.

i po polsku pogadać po obiedzie. Mnie było dobrze i mogłam jeszcze innym pomóc. Ale już taka byłam zmęczona. Ciężko mi było pracować i o wszystkim myśleć.

— Więc pomyślałam sobie, że już czas wrócić do Polski, bo już nie mogę na siebie zapracować. I że trzeba będzie żyć na koszt Państwa, bo mnie już nawet myślenie męczy. Zaczęłam się starać o powrót u władz litewskich. Bardzo mi pomagali. Jeden minister, to mnie posadził na fotelu i po polsku mówił: „co pani dobrodziejka, tak do Polski się spieszy?”

— Zabrałam, co mogłam. Stół i łóżko zostawiłam, żeby przecież inni mieli kawałek chleba. Odprowadziła mnie polska inteligencja z bukietami i owacjami. I odwieźli mnie samochodem pełnym kwiatów do zielonej granicy. Taka byłam ciekawa, jaka ta granica, co tak ludzie się jej boją? Wskoczyłam z samochodu i biegłam kłusa. A tu żerdź podnieśli i już Polska. Tam ich żołnierz a tu nasz. I te nasze drzewa takie piękne. Obejrzałam się. Tam też drzewa. Ale nasze piękniejsze...

Uśmiecha się „babuńcia”. Chwilę odpoczywa i ustami zlekka drżącymi ciągnie dalej:

— Po naszej stronie czekała na mnie p. Ordeżyna i p. Hołownia z Wilna z kwiatami. A tam prosiłam, żeby mi pozwolili złożyć duży bukiet do Matki Boskiej Ostrobramskiej. A jak wracałam, to szło nasze wojsko. Nie chciałam iść do domu. Musiałam patrzeć i patrzeć. Przecież ja naszego wojska nie widziałam. A oni szli i szli. I tak mi było przyjemnie. A potem były wywiady z dziennikarzami. I trzy miesiące temu wróciłam do Warszawy.

— A jak się pani Warszawa podoba?

— Mnie się Warszawa zawsze podobała — odpowiada „babuńcia”. — Zmieniła się. Ale tu jest mój klimat, tu się wychowałam, tu się dobrze czuję. I odpoczęłam. Nie potrzebuję pracować. Wszystko mnie już trochę męczy.

# Każda z nas

może zawsze sobie uprać  
i przywrócić pierwotną  
świeżość

jedwabnej bielizny

skórkowych rękawiczek

wełnianego szalika

i swetera

## W MYDLE ŻÓŁCIOWEM

M. MALINOWSKIEGO

Lab. Chem. Farm.

Warszawa, ulica Chmielna 4

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnym firmach.

Istotnie, na twarz „babuńci” występują mocne rumieńce. Właściwie powinnam odejść. Ale na miejscu trzyma promieniująca od „babuńci” słodycz, siła, i przedziwny wdzięk. Więc znów pytanie:

— A jak było z przejazdem pani do Warszawy?



Marja Fabjanowska,  
najstarsza weteranka 1863 r.

Pomimo zmęczenia, z właściwą sobie uprzejmością doskonale wychowanej osoby, „babuńcia” opowiada:

— Na dworcu były delegacje i muzyka, i kwiaty, i dzieci, takie dobre dzieci. Wszyscy się tak dla mnie fatygowali. To było takie rzewne, takie rzewne. W Schroni-

sku nie miałam sił rzeczy rozpakować. Pytali się mnie potem, czy serce wytrzymało. Jakoś wytrzymało... Ale ciągle coś nowego. Teraz te listy na Święta...

I biegnie „babuńcia” do szafy i szuka. A tymczasem p. Korsakowa, opiekunka Schroniska Weteranów, mówi po cichutku, że pani Fabjanowska jest idealną pensjonariuszką. Interesuje się wszystkim, pomaga, gdzie może, a kiedyś w czasie nagłej potrzeby, oddała na Schronisko własne pieniądze, zastrzegając się przeciwko zwrotowi.

Ze ścian jasnego pokoju patrzą duże obrazy święte, pokryte patyną starości, oprawne w jaskrawe nowe ramy. Pod nimi fotografia Marszałka.

— Te obrazy też przywiozłam zrulowane. A moi chłopcy, co im trochę pomagam, byli tacy dobrzy, że zawieźli do oprawy i tu powiesili. Bo ja nie miałam sił tem się zająć. Tylko pieniądze dać. A listy to mi przywieźli z Kowna. Ale nie mogę czytać nawet w okularach. Nie wiem, który od kogo?

— Pani pozwoli, że przeczytam?

Listy są, az gorące od tkliwych słów wdzięczności i szacunku. Nabrzmięte błogosławieństwami i troską o zdrowie „babuńci”, ciężkie od tęsknoty za nią. Więc oczy „babuńci” zasnuwają się łzami. Ale je bardzo prędko i stanowczo ociera. Należy do zahartowanego pokolenia, na roztkliwianie się nigdy sobie nie pozwala.

Na pożegnanie ściska serdecznie, jak własną „babuńcia”, dziękuje i całuje w policzki. Więc nawzajem do jej pomarszczonej twarzy przylegają usta, znacząc je cieniutką purpurową smugą. A właściwie chciałyby do rąk: do tych dzielnych, dobrych, spracowanych rąk.



## Jak zdobyć trochę węgla...

Fala potężnego mrozu, który zawitał do nas ze wschodu, w mgnieniu oka zmienił życie w stolicy, skutej w lodowych okowach. Na szybach okien mróz narysował dziwaczne arabeski, pokrył chodniki i jezdnie śliską gołoledzią, wcisnął się przez szczeliny do mieszkań ludzkich, biczem lodowym trzasnął w odsłonięte twarze.

— Chyba zmarzę na śmierć! — wzdycha sprzedawczyni gazet, kry-

zimna. Wczoraj zapaliła w budce prymus, żeby nogi „nie skostniały na kamień“. Ale na nieszczęście zauważył to „pan władza“, spisał protokół i trzeba będzie odpowiadać przed sądem starościńskim.

— Jedne policjanty zamykają oczy, jak biedne ludzie prymusy albo koszyki z koksem wstawiają do budek, a jensze to zaraz lecą z pyskiem! — oburza się. — A czy

im samym, nieborakom tak znowu ciepło na 25 stopni mrozu.

Czerwony nos „pana władzy“ i szron, osiadły na wąsach, przeczy wszelkim pojęciom o cieple. Ale po 2 godzinach służby czeka go półgodzinny odpoczynek w komisarjacie, dyżurce szpitalnej lub w przed-sionku hotelowym, a sąsiadka pani Marcinowej, Władka, pozbawiona jest zupełnie możliwości ogrzania się...

Władka mieszka na jednej z nowych ulic na Ochocie. Matka jej dogorywa w szpitalu. Bezrobotny ojciec nie może ruszyć się z domu, bo nie ma butów. Pozostała czwórka młodszego rodzeństwa płacze z zimna i głodu. Więc 14-letnia Władka „chodzi na węgiel“. Wypatruje fury, wiozące czarne dżamenty i skwapliwie zbiera ciepłonośne bryły, zsuwające się z wozu. Lub też biegnie na ul. Towarową. Czasem podniesie z ziemi czarne bryły, lub też zwyczajnie ukradnie. A potem biegnie do domu, rozpali ogień pod kominem, zgotuje zupę, składającą się z przegotowanej wody i ziemniaków i spieszy do pracy.

— Krawaty męskie, prawdziwe jedwabne co w sklepie 3 złote, u mnie tylko jednego złocisza! — powtarza mechanicznie.

Jednocześnie rozgląda się uważnie, czy „pan władza“ nie zobaczy jej. W razie najmniejszego alarmu, kryje się w sąsiedniej bramie. Wraca spowrotem na stanowisko, gdy z pola jej widzenia zniknie



jąc zgrabiały z zimna ręce pod gruby kożuch.

Od wczesnego ranka jest już na swoim posturunku. Z zadróżką spogląda na żelazny koszyk z koksem, który ustawiono przy zbiegu sąsiednich ulic. Gbyby móc skoczyć i poddać choć na chwilę zmarznięte ręce i twarz działaniu błogosławionego ognia! Ale nie ma przy kim zostawić kiosku z gazetami. Więc trwa, nie mogąc się doczekać przyjscia córki, która przyniesie garuszek gorącej kartoflanki!

— Kartoflanka to gruut! Nic tak dobrze nie ogrzeje w środku! — mlaszcze językiem pani Marcinowa, tkwiąca w ciasnej budce z papierosami.

Pomimo grubego kożucha i filcowych butów, dygoce z przejmującego





granatowy mundur. Przepiękuje wtedy nogami, w zbyt obszernych, matczyńskich trzewikach, otula się cienką chustką, przez którą z łatwością przenika ostry, istic syberyjski mróz.

— Krawaty męskie za jednego złociszka...

Gwałtowna fala mroźnego powietrza wpada w otwarte usta. Władka zanosi się suchym kaszlem i biegnie do koszyka z koksem, nie troszcząc się o przygodnego klienta. Nic ją teraz nie obchodzi. Nawet sam „pan władza“! Gdyby nawet chciał zaarrestować, to niech tam! W „kryminale“ jest napewno cieplej, niż na ulicy, a nawet w domu!

Pani Walentowa, sprzedająca na targu zieleninę, wydaje jej się godną zazdrości. Otulona w niezliczone chusty i swetry, w grubych, filcowych butach, rozsiadła się wygodnie na niewielkim stołeczku. Obok postawiła garnek z płonącymi węglami.

Wiktorja nie marzy o powrocie do domu. I ona „chodziła na węgiel“. Wróciła jednakże posiniaczona, pobita, w podartej sukieneczynie. Walka o czarne diamenty rozgorzała się na dobre w pobliżu Miejskiego Zakładu Opalowego. W walce o zdobycie ciepłonośnej bryły, dającej ułudę ogniska domowego, zwyciężyli silniejsi. Wiktorji dostało się zaledwie kilka okruchów, którymi pogardzili nawet nędzarze. Więc żeby nie wrócić do domu z pustą korbalką, doszczętnie wypróżniła koszyk, przymocowany do słupa telegraficznego. Bo w mrocznej suterynie na Pelcowiźnie zimno panuje nie do wytrzymania. Przez zbite szyby płyną bez przerwy fale syberyjskiego

skiego mrozu. Nie było na czym zgotować kartoflanki, jedynej ciepłej strawy, dostępne dla nędzarzy. Więc kupiono „na kredyt“ butelkę wódki w sklepiku, uraczano nią wszystkich, nawet dzieci. Ale „czysta“ fatalnie podziałała na wygłodzone organizmy. Zamroczyła umysły, niezdolne gorąco uderzyć do głowy, ktoś mdlał, inny zaniósł się bezmyślnym śmiechem, mąż Wiktorji chwycił krzesło, grożąc, że rozbije nim głowę sobie i żonie i wreszcie wybiegł boso na ulicę.

— 25 stopni mrozu — szepce 12-letni sprzedawca gazet, który przykucnął przy ulicznym palenisku — a w Wilnie 30!

— Uszy sobie odmrozisz — wzdycha przekupka.

Ulicznik warszawski nie chce być przedmiotem cudzej litości.

— Owa! Zobaczmy, kto silniej-

szy, ja czy przeklęty mróz! Przy najmniej w mieście niema wilków, a po wsiach do chat się wdzierają!

— Jak kto mieszka w pałacu, to pewnie mu ciepło — zauważa ironicznie szofer.

Ulicznik warszawski nie ścierpi również kpin.

— A pewnie, że mieszkam w pałacu! — rzuca — bo nocowałem w schronisku braci Albertynów na schodach! I bez cały dzień jest tam pełno narodu. Ludziska nie chcą po próżnicy biegać po mieście, no i boją się, że w nocy miejsca dla nich nie starczy! Ale ja nie taki znowu bojący!

I zaraz wskoczył na stopień przejeżdżającego tramwaju w nadziei, że uda mu się sprzedać gazetę.

Z nastaniem wieczoru, lodowe okowy zacieśniły się jeszcze mocniej dookoła miasta. Powiał wiatr



zimny, chłoszczący, okrutny i bezlitosny. Jak biczem, ciał po mrozem rysowanych szybach i, niby huragan, wleciał przez komin do nieopalonej izby.

— Matulu! Koniec świata! — rozległ się okrzyk przerażenia z tapczanu pod oknem, gdzie pokryte wytartymi derkami, tuliło się troje małych dzieci.

— Jeżeli Janeczka uda się „schodzić po węgiel“, będzie nam wszystkim ciepło!

I pod niski pułap płynie gorąca nodlitwa wszystkich nędzarzy, których srogi mróz skazuje na zamrznięcie:

— Byleby tylko zdobyć trochę węgla! Byleby mieć czarną, ciepłodajną bryłę, droższą od najdroższego diamentu na świecie!



# Sztuka

Drugą ojczyzną każdego człowieka kulturalnego jest niewątpliwie Italia. I to zarówno dzięki swej przeszłości klasycznej, jak bujnemu i wszechstronnemu rozkwitowi sztuki odrodzenia. Po epoce baroku i neoklasycyzmu, ta ekspansja twórcza i supremacja plastyczna Włoch zaczęła słabnąć, odstępując pierwszeństwa w drugiej połowie w. XIX i w początku XX-go malarstwu francuskiemu, zwłaszcza pod względem wpływów. Zresztą artyści włoscy sami zaczęli hołdować kierunkom, powstałym we Francji: impresjonizmowi i kubizmowi, przetwarzając go jednak w duchu własnym, indywidualnym. (Wibracja barwna Segantini, futurizm Modiglianiego). Na nowe tory pchnął sztukę włoską faszizm. Dążąc do ogarnięcia całokształtu życia zbiorowego, oddziaływa on na twórczość plastyczną niejako z dwóch frontów: przez organizowanie artystycznego, oddziaływa on na twórczości, któreby uwieczniała erupcję siły vitalnej narodu.

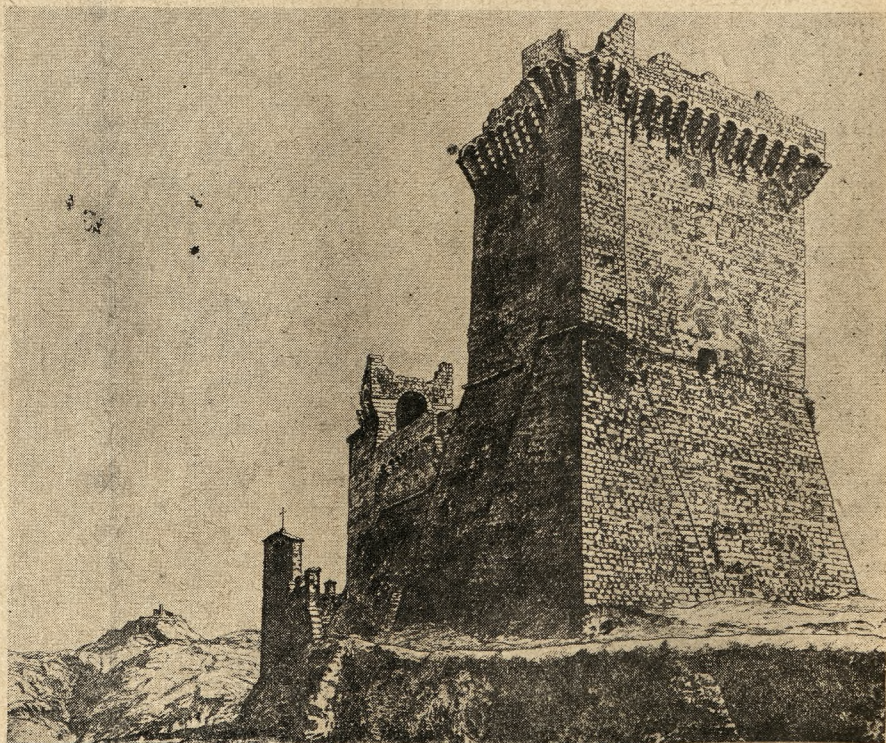
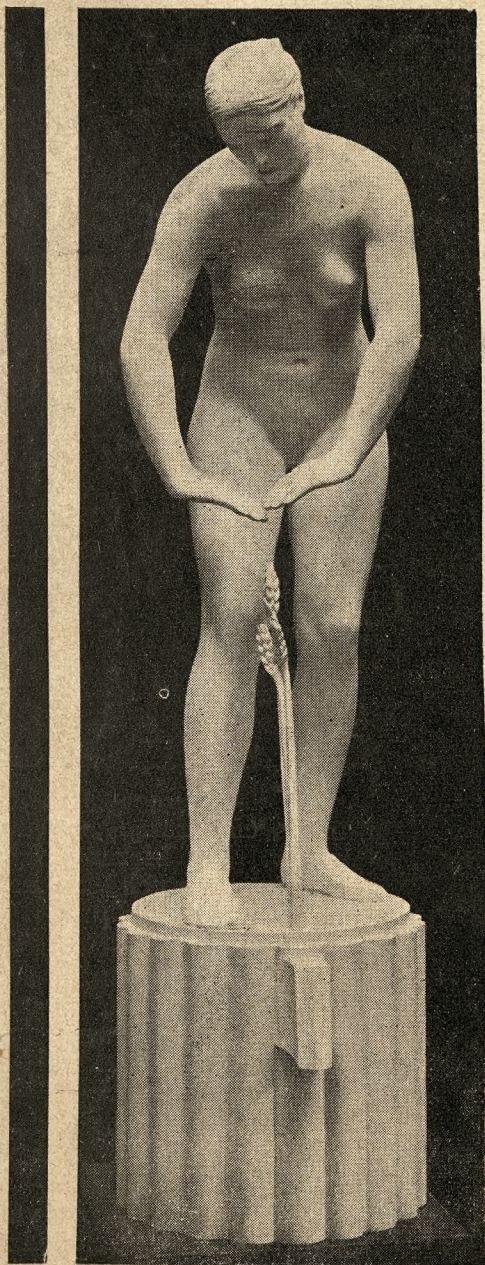
Przyjrzyjmy się naprzód organizacji. Wszyscy artyści Italii zostali zapisani do Syndykatu Narodowego, podzielonego na szesnaście syndykatów regionalnych. Co roku organizuje się wystawy regionalne, co dwa lata wystawę międzynarodową w Wenecji (t. zw. „Biennale”), co cztery lata wystawę narodową w Rzymie.



*Sibellato Ercole: „Jesień nad Brentą”.*

*Francesco Wildt: „Magna pareus frugum („Wielka rodzicielka zbóż”).*

*Mauraner Fabio „Zamek”*





# Wychowanie i szkoła

## Humor naszych dzieci

Ileż razy zdarza się nam okazja obserwowania ludzi, którzy podług wszelkiej normalnej logiki powinni należeć do szczęśliwych. Służą im zdrowie, mają pracę, mniejszy lub większy dobrobyt, niema dramatów rodzinnych, ani osobistych, ot, zdawałoby się: jeśli szczęście jest za wielkim słowem, to przynajmniej powinienby być spokój i przeciętne zadowolenie.

Akurat.

Jeden, zarabiając sześćset złotych, trapi się, że nie ma siedmiuset, drugi przewiduje, bezpodstawnie, że może straci posadę, mąż i żona skwaszeni są na siebie niewiadomo o co, a właściwie o nic, o jakieś nastawienie wzajemne sprzeczne, lub o drobiazg domowy, bez żadnego znaczenia.

Niepodobna? Dziś? Kiedy każdy człowiek powinienby cieszyć się z samego faktu możliwości pracy, którą jednocześnie utrzymuje siebie i przysparza ogólnego dobra, dziś, w epoce bardzo kruchego szczęścia rodzinnego z setkami łatwych okazji rozbicia go, gdy znów, każdy, mający to szczęście, powinien cenić je, jak największy dar życia?

A jednak tak jest i może nawet więcej znajduje się dziś takich nerwowych malkontentów, niż było ich dawniej?

Zdarzali się zapewne zawsze, ale jako wyjątki, potwierdzające regułę, że powinno być i jest ogólnie inaczej. Nazywano ich hypochondrykami i z pełnym współczuciem przechodzono nad nimi do porządku dziennego.

Teraz liczba ich wzrosła w zastraszający sposób. Najbliższy powód, często, co jest zastraszające, ale zarazem bardzo charakterystyczne, zupełny brak powodu racjonalnego, daje okazję do najgorszego humoru.

A przeciwnie, ludzie doświadczeni losem, borykający się w ciężkich warunkach, trapieni najrozmaitszymi przejściami, umieją patrzeć na świat pogodnie i nie zatruwać życia sobie i drugim ciągle niezadowoleniem.

Przyczyny tego tkwią, rzecz prosta, głęboko w charakterze człowieka i właśnie dlatego mało tu są skuteczne wszelkie wpływy na ludzi dorosłych, czy to zewnętrzne, czy pochodzące z autosugestji. O tej ostatniej trudno nawet mówić właściwie.

Niezmierznie rzadkie są te wypadki, aby taki pesymista i grymaśnik życiowy zastanowił się nad sobą i miał siłę zasugerować sobie trochę dobrego humoru. Częściej już zdarza się, że robi to drugi litościwy bliźni. Często mąż lub żona, czasem ktoś z przyjaciół, ale są to zawsze rzeczy trudne. Charakter jest już ukształtowany, nerwy nabyły nawyków, odruchów mających, rzecz dowiedziona, tendencję do powtarzania się, nieraz niewzależną.

Na psychikę wpływać trzeba z młodości. Dotychczas zaledwie zwraca się na to uwagi w wychowaniu młodzieży.

Myślimy o kształceniu charakteru w sensie wyrobienia zasad etycznych, odwagi, poczucia obowiązku, bardzo pięknie, ale prócz tego musimy zwrócić baczną uwagę na usposobienie, na humor naszych dzieci i wychowanków.

Tymczasem, jakże często rodzice sami i pierwsi zaczynają ten kwas, który potem trawi człowieka nieraz całe życie.

Najpierw nie zwraca się uwagi na to, jak dziecko odczuwa różne podniety i wrażenia z zewnątrz, nie bada się tembardziej co myśli i przez jaki pryzmat wewnętrzny przechodzą jego uczucia. Mówi się poprostu: on, ona ma już *takie usposobienie*. Takie, ale jakie? Dlaczego? O tem mało kto myśli. Dziecko melancholijne, staramy się czasem rozerwać, zabawić, „grymaśnemu“ często dogadzamy, niekiedy gniewamy się, lub karzemy za grymasy i to wystarcza.

U młodzieży starszej składa się wszystko na wiek przejściowy, na dorastające wogóle rodzice mają mało wpływu i jeśli przejmują się tem, to tylko w sensie niezadowolenia i stwierdzenia, że: „oni już teraz idą swoją drogą“.

To wszystko tworzy stanowisko raczej bierne, ale zatrać bardzo często o wpływy czynne. Rodzice sami współdziałają w wytworzeniu pesymistycznego charakteru swoich dzieci. Zły humor starszych, wieczne narzekanie na los, niezadowolenie z domu, z pracy, ze stosunków rodzinnych i towarzyskich, krytyka, zrzędnosć, ciągła troska o przyszłość i teraźniejszość, dodają po kropelce goryczy, której lekki osad może już być przecież dziedziczny, po naszym własnym humorze.

Niedawno zwróciła się do mnie jedna z matek z prośbą, aby coś poradzić, jakoś wpłynąć na syna, na jego niezwalczony pesymizm. Gdy chłopiec był w szóstej klasie, twierdził stale, że nie zda matury, gdy ją zdał, mając niespełna 17 lat, (ani razu nie zatrzymał się w klasie) myślał, że nie skończy uniwersytetu, gdy przeszedł go w tem samym tempie, co gimnazjum, zaczął przewidywać, że nie znajdzie pracy i nie zarobi na siebie. Obecnie zarabia i dobrze, jest przystojny, poszukiwany w towarzystwach, lubi swój zawód, robi w nim karierę, nie ma żadnych specjalnych trosk, nawet się nie zakochał. Patrzy zato systematycznie czarnym wzrokiem w przyszłość. Tematem jest wszystko: chwilowe obniżenie wpływów miesięcznych (znacznych) bodaj o kilkanaście złotych, niemożność dłuższego wyjazdu zagranicę, porównanie komfortu, widzianego w Londynie, ze skromnymi warunkami mieszkaniowymi Warszawy i t. p. i t. p.

A teraz powiedzmy, jak było w dzieciństwie. Rodzina zacna, przykładna, kochająca się, ale... te same, wieczne czarne przewidywania. Trzeba oszczędzać, bo tatuś może przestać zarabiać, (niewiadomo dlaczego, miał bowiem świetnie postawiony wolny zawód, przynoszący wysokie dochody i już spory majątek) w chwili wybuchu wojny, mówiło się tylko o głodzie, w takim tonie, jakby ten głód był już w domu, mimo



iego, że przez pierwsze lata nie było o tem mowy, a nawet i później nigdy do żadnej ostateczności nie doszło. W 20 roku Warszawa była już na amen zajęta przez bolszewików, raczono tem chłopca, gdy szedł, jako ochotnik do pulku. Potem wszystko było stale źle, choć naogół szło coraz lepiej. I obecnie ci ludzie dziwią się jeszcze, że młody człowiek jest skwaszony. Czasem, na przekór właśnie domowemu wpływom, wyrasta pogodny optymista, ale to tylko wtedy, gdy wrodzony optymizm i rozsądek jest tak silny, że niweczy zakwas domowy, tak jednak nie zawsze się zdarza.

Więc jakże? Czyż mamy zawsze przedstawiać naszym dzieciom wszystko w różowych kolorach, nie zalecać im oszczędności, nie wprowadzać w ich życie żadnego przewidywania mogących zajść trudności, trudności, które zdarzą się przecież napewno?

Wcale nie. Chodzi tylko o nie zatrutowanie każdego przewidywania pesymizmem, o nauczanie, że trudności i przeszkody spotyka się z wytrwałością, i, o ile to nie są nieszczęścia, z pogodą i uśmiechem, z zacięciem i: nie ty mnie, a ja ciebie zwalczę. Chodzi też o powstrzymanie swoich pesymistycznych wylewów w wypadku, gdzie nie mają one żadnego sensu, gdzie są tylko ekspozyturą naszego złego humoru. Chodzi o stworzenie atmosfery pogody i zadowolenia, siły i wiary w siebie i w przyszłość.

Ale i to jest dopiero tło, powietrze psychiczne do oddychania. Nie jest to jeszcze wszystko. Trzeba pozatem zbadać i poznać charakter i usposobienie dziecka, zwrócić uwagę na jego humor, zrozumieć, jak odbijają się na niem różne wpływy i wrażenia, sięgnąć i do psychologii i psychoanalizy i na tych podstawach starać się kształtować nie tylko charakter etyczny, ale



humor, spojrzenie na świat naszych dzieci. Jak drobne są nieraz przyczyny, żłobiące głębokie rysy w młodej psychice, niech posłuży jeszcze następujący przykład: jedna z moich znajomych opowiedziała mi kiedyś, co zatrulo jej kilka tygodni dzieciństwa.

Oto poznała młodą, miłą ciocię, a jednocześnie usłyszała od swej matki zdanie o tej cioci bardzo niepochlebne. Było to zwykłe sobie zrzęczenie i krytyka „familijna“, ale dla małej, wrażliwej dziewczynki stało się powodem długiego smutku i zniechęcenia.

Należy więc zwrócić uwagę i na to: nie krytykować z nałogu wszystkich, wszystkiego, odrazu bowiem zastrzykujemy młodym, wrażliwym charakterom dawkę zgryźliwości i pesymizmu.

Jeżeli zaś które z dzieci zdradza wyraźny pesymizm, niezadowolenie, zbyt zamknięcie w sobie, wtedy trzeba wziąć to poważnie, trzeba to *leczyć* psychicznie, bo ważne jest zdrowie fizyczne, ale równie ważna równowaga duchowa, pogoda i siła psychiczna nie zatruta pesymizmem. Te rzeczy można zmienić, można je w najwyższym już razie zniwelować, sprowadzić do minimum, ale tylko póki czas, to jest w młodości, stale bacząc i wpływając na nie od najmwcześniejszego dzieciństwa.

A ileż razy przeciwnie, rodzice zgryźliwi, zmęczeni życiem, często istotnemi, czasami urojonemi na własnem czarnowidztwie opartemi troskami, gaszą naturalny, żywiołowy humor dzieci: ty się niczem nie zmartwisz, nie cię nie obchodzi, nie masz serca.

I dlatego często z wesołych, beztroskich młodych, wyrastają pesymiści, wieczni malkontenci życiowi.

Na dobrym humorze, na pogodnym spojrzeniu na świat nikt jeszcze nie stracił. Nie wykluczają one ani rozwagi, ani daru przewidywania, ani dobrej znajomości ludzi, ani poważnego traktowania życia, dodają tylko siły do znoszenia przeciwności, i, co najważniejsze, tworzą szczęście samo w sobie. Dlatego musimy starać się nieustannie o nie w wychowywaniu psychicznem, tak, jak w wychowaniu fizycznem dbamy o powietrze i słońce.

Natalja Jastrzębska.



# Italska

Oprócz tego wystawy międzyregionalne, personalne i grupowe w różnych miastach. Widzimy z powyższego, że organizacja ta umożliwia zarówno eksponowanie się indywidualne artystom, jak zestawienie poszczególnych dorobków regionalnych między sobą, jak wreszcie skonfrontowanie sztuki rodzimej z obcą na Biennale.

A jak wygląda druga strona sprawy, kwestia wypowiedzenia się twórczego. Antonio Maraini, sekretarz generalny Biennale, który przybył wraz z obecną wystawą sztuki włoskiej do Warszawy, i w paru odczytach z przezroczami zaznajamiał publiczność naszą z plastyką włoską ostatniej doby, — we wstępie do katalogu pisze, że nowa Italia — „dała artystom miejsce i funkcję w życiu narodu, łącząc artystów w Syndykaty Sztuk Pięknych i powołując ich do wielkiej sztuki dekoracyjnej... Twórczość ich została zrealizowana we freskach, w marmurach i bronzach na ścianach stadjonów, szkół, bibliotek, szpitali, koszar, ministerstw, teatrów, kościołów, dworców, słowem we wszystkich budynkach, powstałych w ciągu ostatnich dziesięciu lat”.

Przy tego rodzaju twórczości programowej, z natury rzeczy inspirowanej przez czynniki rządzące, zachodzi zawsze obawa o istotną wartość artystyczną prac, tą drogą powstających. Anto-

*Barrera Antonio; „Pozdrowienie Wodza”.*



nio Maraini, jakby uprzedzając tę obawę, a zarazem ją usprawiedliwiając, pisze, że „z każdego pierwiastka malarskiego czy plastycznego promieniuje duch żywy, bardziej skłonny do wyrazu energii niż do estetyzowania, duch, który przepojony jest ideałem męskiego zdrowia i siły”.

Jeden rzut oka na wystawę wystarczy, aby zgodzić się na tę definicję tendencji. Inna sprawa, jeżeli chodzi o poziom artystyczny. Nie wystarczy brać sobie za temat krajobrazu w słońcu, maszerujących faszystów, tłustych dzieci, muskularnego torsu męskiego, czy harmonijnego ciała kobiety, żeby osiągnąć pełnię owego „wyrazu, męskiego zdrowia i siły”. Trzeba jeszcze być wielkim artystą i znać rzemiosło, to znaczy, tak operować środkami malarskimi, czy plastycznymi, żeby osiągnąć pełnię wyrazu najprostsza techniką. Otóż to, co się widzi na obecnej wystawie włoskiej w Ipsie w zakresie malarstwa, rzadko wykracza poza poprawność. Niema tam ani jednego płótna, któremby widz mógł być porwany, a choćby urzeczony, do któregoby chciało się wrócić po jednorazowym zobaczeniu.

To trudno i darmo: Włosi są przede wszystkim rodzonemi rzeźbiarzami, nawet w malarstwie. Bryła i linja dominuje tam u nich nad barwą i światłem. Wyrazny kontur, ścisła przestrzenność, często bez powietrza trójwymiarowość na płótnie, czyni ich malarstwo współczesne nieco suchem i akademie-

*Ferruccio Ferrazzi: „Dziewczątka”.*



kiem. Natomiast rzeźba, jakkolwiek obciążona dziedziczością antyczną, doskonale odpowiada postulatu Marainiego: „zwrócić postaci ludzkiej jej pełny walor naturalny zarówno w prawidłowości formy, jak w jasności wyrazu treści”.

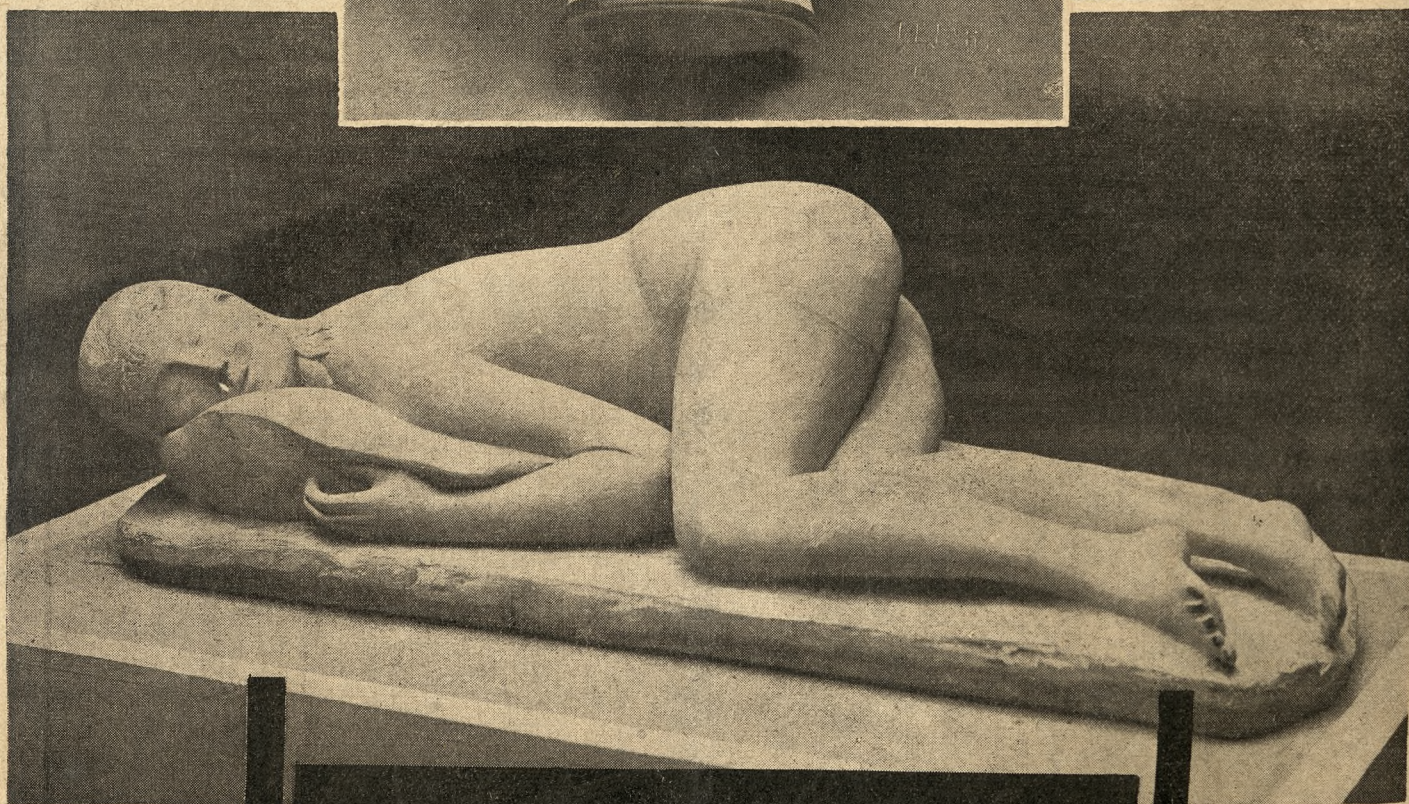
Taka „Rodzicielka zbóż”, nowoitalska Cerrera, ziemi błogosławiąca, symbol płodnej Italji, ileż w swoim bujnym a jednak smukłym ciecie kryje uroków kształtu, miękkości linii, rytmu. Albo „Balilla” — tors chłopczyka z najmłodszej organizacji faszystowskiej. Twarzyczka dzie-



cinna, zapatrzona i zasłuchana, promieniuje entuzjazmem i zapałem.

Kilka głów i popiersi samego Duce osiąga ten, zgodny ze znaczeniem historycznym postaci, poziom monumentalności i grandezzy. Coprawda co za wspaniały model, i moralnie i fizycznie!

A „Macierzyństwo” Marainiego, może trochę konwencjonalne, i wymuskane, ale jak harmonijnie skomponowane, jak doskonale utrzymane w równowadze plastycznej, w ładzie konstrukcji, w rytmie draperji, w prostocie koncepcji.



Waza.

„Śpiąca”

(marmur)

Antonio Maraini;  
„Macierzyństwo”



Jest na wystawie udział grafiki, bardzo po włosku, to znaczy bardzo wyraźnie opracowane tematy architektoniczne (Assyż, Rzym).

Jest kilka prześlicznych waz ze szkła, z ceramiki, z metalu. Budzą wspomnienia z wykopalisk i zabytków, urn i amfor etruskich i pompejańskich. Są wytworne, zmysłowe i kosztowne. W nieco surowy, ogólny ton wystawy wnoszą akcent zbytku i rozkoszy.

S. Podhorska-Okolów.



# Kurs dla narzeczonych w Bninie pod Poznaniem



Na zakończenie kursu przybył J. E. Ks. Kardynał Prymas Hlond.

Czy nowa ustawa małżeńska wejdzie w życie? Czy będzie korzystna dla instytucji małżeństwa? Oto pytania, które ukazują się na łamach wielkich dzienników i na których temat wszyscy dziś chętnie dyskutują. Są nawet tacy, którzy w rozluźnieniu silnych więzów małżeństwa widzą pierwszy krok do bezwzględnej szczerości w stosunkach między ludźmi...

W dobie takich nastrojów szerokiego świata — w cichym, uroczym odosobnieniu wielkopolskiego Bnina odbywało się przepiękne misterjum budowania dusz dziewczęcych, otwierania ich młodych serc dla wielkiej, prawdziwej miłości małżeńskiej.

Trudno mi nazwać inaczej pierwszy w Polsce „kurs dla narzeczonych”, urządzony przez poznańskie Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej.

Niedaleko historycznego Kurnika wielkopolskiego nad jeziorem bnińskim wzniesiono duży, piętrowy „Dom Młodej Polki”. Powstał dzięki groszowym składkom dziewcząt zorganizowanych w KSM. A jest to młodzież przeważnie uboga. Rekrutuje się z robotnic folwarcznych, fabrycznych, dziewcząt zatrudnionych w handlu i w biurach. Po wielu latach skrzętej ofiarności stanął wreszcie upragniony dom, który jest teraz przedmiotem westchnień tysięcy dziewcząt \*).

I może być ich wielką chlubą. Zbudowany zupełnie nowoczesnie z najnowszych instalacjami i udogod-

nieniami. Na parterze ma kuchnię, wielką salę - świetlicę i pokoje gościnne.

Piętro zajmują prześliczne sypialnie, umeblowane białą i ozdobioną barwnymi, ludowymi tkaninami. Wszędzie ściany śmieją się haftami, obrazkami. W glinianych wazonach gałęzie sosny przypominają, że to grudzień i Boże Narodzenie „za pasem”. W komfortowych umywalniach przez cały dzień bieżąca woda zimna i ciepła.

A z okien wspaniały widok! Z jednej strony na szare jezioro, co „nie chciało” jeszcze zamarznąć w tym roku. Dokola zieleni, morze zieleni iglastej, tak bardzo świeżej, bo jesz-

cze bardzo młodej. Dom leży bowiem na wzgórzu, a otacza go „własny” rozległy park sosnowy. Zdaje się, że człowiek znalazł się w jakiejś cichej oazie, do której dobrowolnie uciekł przed życiem wielkomiejskim...

W tym to zakątku, idealnym dla duchowych rozważań, urządzono w końcu listopada i w grudniu ubiegłego roku kurs dla narzeczonych. Opłata za cały kurs wraz z utrzymaniem miesięcznym wynosiła tylko 42 zł. Była to pora, kiedy w zajęciach wiejskich jest przerwa zimowa. Zgłosiły się więc przeważnie dziewczęta wiejskie. Przyjechały trzydzieści dwie i prawie wszystkie zaręczone. Niektóre już w styczniu wyidą zamaż.

Jak był ten kurs zorganizowany?

Zajęcia dzieliły się na teoretyczne t. zn. wykłady z dyskusjami i praktyczne, czyli gotowanie, sprzątanie, pranie, ćwiczenia z zakresu higieny dziecka i t. p.

Bardzo wiele uwagi poświęcono wykładom. Tematy były tak dobrane, że obejmowały całokształt zagadnień małżeństwa w bardzo popularnym oczywiście ujęciu. Prezentkami były w większości żony i matki, które opracowały swoje referaty na podstawie własnych doświadczeń i przemyśleń życiowych.

Omówiono więc następujące tematy: Znaczenie sakramentu małżeństwa. Małżeństwo jako podstawa bytu państwa. Jaki powinien być wzajemny stosunek narzeczonych? Wartość zdrowia w małżeństwie. Skutki chorób dziedzicznych w małżeństwie. Pomoc w nagłych wypadkach. Dziecko w rodzinie. Dobra żona. Praktyczne urządzenie do-

\*) Według statystyki za rok 1953 w KSM. zorganizowanych jest na terenie całej Polski przeszło 150.000 dziewcząt w 20 Stowarzyszeniach diecezjalnych, których centralą jest Związek w Poznaniu.



Druchny — narzeczone przy pracy w kuchni.



mu. Nowe metody pracy gospodar-  
czej. Moja wyprawa osobista. Opie-  
ka nad niemowlęciem. Dziecko zdro-  
we i chore. Higijena osobista kobie-  
ty. Młody człowiek: a) wychowanie  
niemowlęcia, b) w wieku przed-  
szkolnym. W oczekiwaniu dziecię-  
cia. Książkowość i budżet domu.  
Kobieta i dom. Odżywianie rodziny.  
Pielęgnowanie chorych. Miłość w  
małżeństwie.

Przeglądałam kilka notatników,  
w których dziewczęta zapisywały  
sobie ciekawsze myśli i wskazówki.  
Krzywe, niezgrabne literki układały  
się tam w niejedno piękne zdanie.  
Taki zeszyt w tekturowej okładce  
będzie dla niej promiennym wspom-  
nieniem kiedyś w ciężkiej może  
chwili życia.

Przed południem część kursistek  
miała służbę w kuchni. W czystych  
fartuszkach i białych cepeczkach  
na głowie gotowały pod okiem in-  
struktorke obiad. Reszta miała go-  
dziny robót ręcznych. Jedna szyje  
sobie bluzeczkę, tamta haftuje ser-  
wetkę dla przyszłego domu... Inne  
przerysowują wzory ze zbioru pani  
instruktorki.

Jutro już będzie zakończenie kur-  
su. Rozpoczną się rekolekcje zam-  
knięte, które pozwolą druchnom w  
spokoju zupełnym zajrzeć wgląd  
duszy.

Korzystam więc z ostatniej oka-  
zji, by zdobyć choć kilka szczerych  
słów o ich poglądzie na sprawy ży-  
ciowe. A niełatwe to zadanie. Dzien-  
czyna wielkopolska, jak wogóle lud  
tutejszy, jest raczej małowówna i  
skryta. Nie lubi uzewnętrzniać te-  
go, co ją boli, lub cieszy. Woli być  
„sama ze sobą“, nie chce, by ktoś  
wkradał się do jej wewnętrznego  
światka.

— Dlaczego przyjechałam na ten  
kurs? Bo mój narzeczony wyczytał  
w gazecie, że urządza się taką rzecz  
i namówił moich rodziców, by mnie  
wysłali. A teraz to bardzo tęskni  
za mną, bo co drugi dzień przysyła  
mi listy i swoje fotografie. Ale ja  
mu nie tak często odpisuję — choć  
mam dużą chęć, oj dużą! Lecz  
chłopcu to zawsze lepiej nie tak bar-  
dzo okazywać przywiązanie.

— Mnie na ten kurs wysłali —  
mówi inna — bo mnie chcą wydać.  
Ja chciałam wstąpić do klasztoru.  
Zawsze brzydką rzeczą wydawało  
mi się małżeństwo, bo — proszę pa-  
ni — na wsi to ludzie ledwo się dwa  
razy widzieli, już się pobierają, a  
przeważnie tylko dla pieniędzy i  
morgów. Potem w domu tylko  
kłótnie i obraza boska. A teraz do-  
piero po tym kursie widzę, że mał-  
żeństwo to wielka rzecz, że na niem  
buduje się siła Kościoła i Państwa.  
I mówiono nam tu o wielkiej miło-  
ści i przywiązaniu małżonków, złą-  
czonych wzajemną życzliwością. Ja



Ks. Prymas Hlond odjeżdża.

o tem wszystkim naprawdę poraz  
pierwszy słyszałam. A po tym wy-  
kładzie o matce, oczekującej swego  
dziecięcia, stanęły mi w oczach łzy  
ze wzruszenia, bo przecież taka ko-  
bieta musi być bardzo, bardzo  
szczęśliwa!

W tej chwili wielkie, niebieskie  
oczy Jadzi znowu zasły łzami, a ja  
miałam chęć uściskać ją z radości,  
że tak ochotnie otwarła swe proste  
serce. Chwyciłam ją za rękę i szły-  
śmy w milczeniu młodą aleją sosno-  
wą ku zamglonemu grudniowemu  
oparom jezioru...

Mówiono mi, że po wszystkich  
wykładach dyskusje były bardzo  
ożywione. Bo tematy poruszały  
kwestje bardzo dla nich interesują-  
ce. Lecz dalszy ciąg rozmów odby-  
wał się wieczorem w sypialniach.  
Na podstawie usłyszanych wykla-  
dów dziewczęta omawiały jeszcze  
raz poszczególne kwestje, dyskutuj-  
ąc zawzięcie na temat swych narze-  
czonych. Z niejednych ust wyr-  
wało się nawet słowo niepokoju...

— Jesteśmy bardzo zadowolone  
z kursu i pobytu. — Jakże nam bę-  
dzie żal wyjeżdżać! — słyszałam  
naokół. Wszystkie twarze promie-  
niały dziwnym spokojem i szlachet-  
nością. To pewnie wewnętrzne  
przeżycia uwydatniły się w rysach.  
— Nie przypuszczaliśmy, że tyle  
skorzystamy przez jeden miesiąc!

Po chwili rozmawiam z czarnooką  
Stasią z kujawskiej wioski. Na zdro-  
wej, rumianej twarzy znać humor  
i radość życia.

— Muszę pilnie słuchać wykla-  
dów i uczyć się wszystkiego. Moja  
siostra przed rokiem wyszła zamaż,  
a teraz oczekuje dziecka. Pojadę  
stąd do niej, u niej już spędzę świę-  
ta Bożego Narodzenia i pouczę ją o  
wszystkiem, jak tylko potrafię. Bo  
przecież człowiek zupełnie inny ma  
pogląd na sprawy małżeństwa po  
takim kursie.

Zostawiam za sobą biały dom z  
wesolym gwarem jutrzejszych żon  
i gospodyń wiejskich, zapatrzonych  
w rozwieszane na ścianach typy Sta-  
chiewiczza i barwne dzbany, pełne  
sosnowego igliwia.

Dlaczego było mi z nimi tak bar-  
dzo dobrze? I dlaczego teraz na tej  
smutnej drodze w grudniowe popo-  
łudnie jest mi tak bardzo radośnie?  
Bo w prostych duszach wiejskich  
dziewcząt ujrzałam wiele dobrych,  
szczerych porywów. Uwydatniają  
się one wtedy, gdy im damy odpo-  
wiednie warunki, estetyczne otocze-  
nie, kulturalne mieszkanie i prze-  
mówimy do nich umiejętnie, ży-  
ciowo.

Taki kurs — to naprawdę wielka  
rzecz! Nowy rodzaj miłosierdzia,  
miłosierdzia duchowego, rozpalenie  
iskierek idealizmu, gdzie było do-  
tychczas miejsce tylko na głos in-  
stynktu...

Ich brutalnie realne spojrzenie na  
świat — to jedynie zewnętrzny na-  
łot, narzucony warunkami życiowe-  
mi, a na dnie zostaje niezniszczona  
pierwotność, która goni za dobrem,  
jak kwiat za słońcem.

W maju 35 r. odbędzie się w Bni-  
nie drugi kurs dla narzeczonych..  
Dziewczęta wyjeżdżały z tego kur-  
su tak rozentuzjasmowane, że spe-  
wnością wiele innych zachęca do  
skorzystania z okazji. A tysiącnym  
i milionowym rzeszom potrzeba ta-  
kich dni rozważenia, czem są obo-  
wiązki przyszłej żony i matki w ro-  
dzinie. I nie tylko robotnicy wiej-  
skiej, czy fabrycznej, lecz i panien-  
ce ze dworu, i studentce uniwersy-  
tetu, i młodej lekarce i profesorce...

W chwili wołania o odrodzenie ro-  
dziny takie kursy są szczególnie  
aktualne, gdyż pracują nad odrodze-  
niem rodziny *od podstaw*, przygoto-  
wując wychowawczynie przyszłych  
pokoleń.



## Z ubiegłego tygodnia

*Plebiscyt — woła większości! — Sumienie obywatela i sugestje. — Trzynasty styczeń w Saarze. — Spełniony obowiązek i ostatnie słowo Ligi.*

Czem jest plebiscyt? — Każdy powie, że jest wolą społeczeństwa, albo ściślej — wolą mieszkańców „danego” kraju. Więc szczyt swobody w wyborze przynależności państwowej, względnie ustroju. Po wojnie światowej parokrotnie uciekano się do plebiscytu, aby uniknąć kłopotów politycznych i konfliktów, jakie zazwyczaj sprawiają kwestje sporne w związku z ziemiami o mieszanej ludności. Plebiscyt stał się zatem czymś w rodzaju — sprawiedliwości dziejowej, oczywiście względnej, skoro w rezultacie mniejszość musi się poddać woli większości.

Regulaminy plebiscytów mają więc za zadanie jak najszersze zastosowanie tej względnej sprawiedliwości. Ale poza ramami regulaminu, działa jeszcze agitacja, propaganda, demagogia i — lęk głosujących. Obywatel, wyrwany ze swojej codziennej bierności politycznej, musi decydować w swoim sumieniu. Niekiedy jednak sam nie zdaje sobie sprawy z tego, jakim ulega sugestjom, jak skrepowany jest warunkami moralnymi i materialnymi.

Plebiscyt w Zagłębiu Saary w dniu 13-ym styczenia miał i mieć będzie jeszcze inne znaczenie. W chwili, gdy piszemy naszą kronikę, nie znamy jeszcze liczbowego wyniku, ale znamy nastrój tego dnia, który drżał na falach eteru i żywym słowem przemawiał przez głośniki. Głosy mieszkańców Saary opowiadały się za przynależnością do Niemiec i za status quo. Stały więc naprzeciw siebie: „Front Jedności” i „Front Ludowy”, gdy tymczasem przed plebiscytem i w ciągu dnia głosowania szły od strony niemieckiej zapowiedzi... że rozstrzygnięcie w Zagłębiu Saary niesie Europie wojnę lub pokój.

Pod wrażeniem tych zapowiedzi, „Europa” przeżywała ubiegłą niedzielę w nastroju podnieconym. — A, co z Saary? — A, jak tam w Saarze? — Dowiadywano się, że wybory miały przebieg spokojny, zaczęły balety i dancingi wracały do karnawałowej normy i tylko nazbyt przeczułeni odnosili wrażenie, że „tańczą na wulkanie”.

Ranek poniedziałkowy zaczął się tłustymi czcionkami w pismach. Były to jednak słowa bez treści, czytelnicy oczekiwali bowiem cyfr, choćby w przybliżeniu. (I my podamy te cyfry dopiero w uzupełnieniu naszej kroniki, przed oddaniem numeru na maszynę). Tyle wiadomo, że społeczeństwo saarskie spełniło swój obowiązek, głosowano bowiem przeciętnie 90% uprawnionych. Piętnaście procentów przywiozło do Saary tych, którzy w r. 1919 zamieszkiwali terytorjum Saary, a obecnie znajdowali się poza jej granicami. Więc jednak — wola społeczna i — uświadomienie narodowe!

Mimo to, szef narodowo - socjalistycznego rządu zagranicznego dr. A. Rosenberg ubolewa na łamach „Völkischer Be-

bachter”, że Francja nie przyjęła propozycji Hitlera, który pragnął, aby kwestja Saary załatwiona była bez plebiscytu, lecz w bezpośrednich rokowaniach między Francją i Niemcami. Ponadto wysuwa „Berliner Tageblatt” jeszcze jedną objękcję — oto w myśl traktatu wersalskiego decyzja w sprawie Saary nie zależy od wyników głosowania, ale od orzeczenia Ligi Narodów.

Sprawa Saary — będzie więc miała swój dalszy bieg, będzie jeszcze niepokoić Europę i, mimo plebiscytu, nie będzie rozstrzygnięta wola mieszkańców? Sprawa Saary, to jakgdyby twierdzenie — z pytańikiem...

Wyniki plebiscytu mimo oczekiwanego zwycięstwa Niemiec muszą zadziwić największych optymistów proniemieckich. Za przyłączeniem do Niemiec opowiedziało się 90% ludności.

H. N.

## Z teatrów

*„Dziady” Adama Mickiewicza w inscenizacji Leona Schillera.*

Dwa fakty uderzały mnie zawsze w dotychczasowych inscenizacjach „Dziadów”: jasełkowy, niepoważny realizm zjaw w części II-ej i konieczność nietykalności mickiewiczowskiego tekstu. Nawet w operowych „Widmach” Moniuszki raziły nie-mile aniołki, bujające na drutach nad sce-

**Oszczędni i wytworni**  
państwo nabywają obu-  
wie męskie, damskie i  
dziecięce **j e d y n i e**  
w firmie

**S. H I S Z P A Ń S K I**  
Warszawa, ul. Krakowskie Przedm. 7  
Istnieje od 1838 roku

na i ludzkie kruki, szarpiące ciało pana-potępieńca, przyświecającego tej uczcie upiorów lampą elektryczną, uczepioną do własnego czoła. Próby osłabienia groteskowego naturalizmu przez ożywianie n. p. rzeźbionych aniołków w ołtarzu, zamiast spuszczenia ich na sznurku z sufitu, — nie rozwiązały sprawy. Pozostała ona ciągle otwartą raną inscenizacyjnych koncepcji „Dziadów”. Otóż tę ranę zasklepił Schiller zdaje się na zawsze. Całkowite odmaterjalizowanie zjaw, których obecność manifestuje tylko głos, światło i kierunek wzroku rozmodlonych, wpatrzonych w nie tłumów, jest istotnie genialnym pomysłem inscenizacyjnym i wyłączną zasługą Schillera.

W tym samym duchu uzmysłowiony jest „Sen Senatora”. Zamiast tłumów zjaw parawan z załamanych luster, w których Senator ogląda własną zwielokrotnioną postać.

Drugą zdobyczą, niemniej ciekawą, choć nie we wszystkich punktach równie szczęśliwą, jest ucieleśnienie jedno-ideowego dramatu przez sztuczne stworze-



*Barszczewska i Węgrzyn jako Dziemica i Gustaw.*



nie jedności miejsca i czasu, zapomocą stałego tła: nocnego nieba z prześwieconymi księżycem chmurami i trzech czarnych krzyży na wzgórzu, które mogą być równie dobrze „górami Mendoga” — cmentarzem, jak symboliczną Gologotą polskiego Mesjasza. Istotnie, jak to już niegdyś umotywował Treliak w swoim doskonałym dziele „Młodość Mickiewicza”, cała akcja Dziadów odbywa się w ciągu jednej nocy zadusznej. Gustaw-samobójca, dla dopełnienia pokuty pośmiertnej, musi wrócić na ziemię i przeżyć kolejno napowrót wszystkie etapy swego życia: miłość, więzienie, bunt, improwizację, nawrócenie, wywiezienie do Rosji. Że jest tak, a nie inaczej, świadczy ostatnia scena na cmentarzu między Kobietą a Guślarzem, który już po skończonym obchodzie Dziadów napróżno stara się wywołać ducha zmarłego kochanka. Ten wreszcie ukazuje się, mknąc w kibitce na północ, z tysiącem ran w ciele, zadanych przez nieprzyjaciół narodu, z jedną małą ranką na czole. „Tę ranę sam sobie zadał”.

Tak pojęte „Dziady” nie są realistycznym dramatem, ale misterjum, składającym się z szeregu scen-widziadeł. Tę widziadłowość Schiller, jako reżyser, celowo wydobyl nawet z tak poznaczonych realistycznych scen, jak scena w celi Konrada, „Bal u senatora” i „Salon Warszawski”. Wszędzie prawie aktorzy mówią i ruszają się, jak zjawy, przyczem towarzysząca pewnym momentom muzyka wciąga ich mimikę i gestykulację w swoisty rytm i szemat zaświatowych robotów czy kukielek. (Gra w karty w „Salonie warszawskim” pod takt poloneza Ogińskiego).

Dekoracje Pronaszkis, markujące przestrzenne środowisko danej sceny zapomocą oderwanych fragmentów architektonicznych, nad którymi zawsze otwiera się to samo niebo z trzema krzyżami niezaw-

szę w dostatecznym stopniu umiejscawiają akcję. Pokój księdza, nie daje wrażenia zaciszości, a cela Konrada wrażenia zamknięcia, jeśli je oskalpujemy z pułapu. Naznaczenie znamieniem Pasji wszystkich stacji i tej Mickiewiczowskiej Drogi Krzyżowej ma swój niezaprzeczenie mistyczny sens, ale powinno być zrobione dyskretniej, z mniej narzucającą się suprenacją plastyki nad słowem.

Słowo! Oto jest punkt, na którym zachwiała się równowaga schillerowskiej koncepcji. Są takie miejsca w „Dziadach”, które otacza nimb relikwii i broni nienaruszalności świętości. Kiedy z przydługich nieco recytatywów widm w kaplicy odleje się trochę retoryczno-sielankowej wody (przecież to pisze Mickiewicz z okresu „Pierwiosnka i Romantyczności”), to tego nikt nie czuje. Ale gdy z Improwizacji zostają tylko poćwiartowane szczątki, to taką egzekucję Konrada odczuwamy na własnej skórze duchowej, jak wymyślną torturę, a kiedy bluźniercze słowo „Car” w odniesieniu do Boga wypowiada sam Konrad, zamiast djabła, to w tym słowie słyszymy kłamstwo, krzywdę, gwałt nad bezbronnym poetą. Wiadomo przecież bowiem, że Mickiewicz do tego ostatecznego i najgorszego w polskim pojęciu bluźnierstwa celowo nie dopuścił Konrada. Myśl o nim, jeszcze nieurodzoną, podchwytuje i obleka w słowo szatan.

W scenie egzorcyzmów znowu licencja. Z sufitu spływa krata, oddzielająca księdza Piotra od grzesznika. W tekście Mickiewiczowskim Konrad omdlewa, ksiądz go podnosi i zmusza szatana do opuszczenia ciała opętanego i do wypowiedzenia całego szeregu wskazówek o Rollisonie. Schiller uprościł tę scenę w ten sposób, że Konrad zezwierzęciały, przemieniony w szatana, który go opętał, sam odpowiada na pytania księdza, czolgając się i sko-

wycząc za kratą. Wytwarza to nastrój raczej realistyczny. Szatan gdzieś znikł, mamy do czynienia z obłąkańcem.

Na tem chyba kończy się litanja samowolnych zmian Schillera. A prawda! wypuszczono jeszcze „Widzenie Ewy”, tę uroczą sielankę anielstwa, kto wie jednak, czy przylegającą ściśle do demonicznej martyrologii misterjum schillerowskiego.

A teraz słówko o wykonawcach. Węgrzyn, ten tradycyjny i klasyczny odwóca bohaterów naszej poezji romantycznej, tym razem zawiódł. Jego Gustaw-Konrad był zanadto kabotynem, za mało całopalną ofiarą miłości. Na Węgrzynie zemściła się jego grawitacja w kierunku ról charakterystycznych. Może dlatego najlepiej wypadła groteskowo potraktowana scena opętania.

Potrójną rolę w jednej: Dziewicy, Pastorki, Kobiety — z wielkim wdziękiem, powagą i pietyzmem dla wygłaszanego tekstu odegrała Elżbieta Barszczewska.

Pełnym namaszczeniem, choć nieco mumjowatym był Wierciński, jako ksiądz Piotr. Wysocka wniosła ton wysokiego, niemal antycznego patosu i tragizmu w dwóch wspaniałych wejściach do Senatora. Samborski z postaci Senatora zrobił tak, jak należało, finezyjnego potwora w jedwabnych rękawiczkach.

Kreczmar w opowiadaniu Sobolewskiego i Wyrzykowski, jako Adolf w Salonie Warszawskim, zabłysnęli doskonałą dykcją i ekspresją wygłaszanych fragmentów.

Sceny zbiorowe były wykonane z tą maestrią i precyzją, w której Schiller zawsze jest mistrzem.

Muzyka naogół dobrze dobrana przez Romana Palestrę, miała niekiedy momenty nieco na bakier idące z duchem tekstu. Okrzyk „A kysz, a kysz”, brzmiał raczej, jak pogodne pożegnanie, niż jak przekleństwo.

S. P. O.



Scena: „Salon Warszawski” w Dziadach.



# Kobieta w świecie i w domu

## DZIEWCZĘTA ITALJI.

W odległości kilku kilometrów od Rzymu, przy drodze do Florencji wznosi się stary klasztor. W jego cichych murach zgromadzono prawdziwy rój młodzieży. Tu bowiem mieści się Akademia, w której kształcą się przeszłe instruktorki włoskich dziewcząt.

Studentki w wieku od 17 do 21 lat muszą się odznaczać doskonałym zdrowiem, prawością charakteru, lojalnością polityczną i muszą należeć do organizacji stronnictwa narodowego. Koszty przyjęcia oraz pobytu w Akademii w Orvieto wynoszą 5.300 lirów.

Dwieście słuchaczek Akademii przechodzi tu dwuletni kurs regularny i odbywa praktykę w ciągu jednego roku, w charakterze instruktorek świeżo przybyłych studentek, otrzymując po jej ukończeniu tytuł „Instruktorki wychowania fizycznego w szkołach średnich Dzieła Babilona”. Absolwentki Akademii stają się członkiniami „Wyższego Wykształcenia” oraz zarządu organizacji kobiecych. Będą im podlegały nadzór, orientacja duchowa, umysłowa i fizyczna półtora miliona małych i młodych Włosek, oraz 17 milionów przewodniczek, które stanowią kadry nauczycielskie całej Italji.

Akademia, ufundowana przed trzema laty, rozrasta się w szybkim tempie.

Nowoczesne gimnazjony, korty tenisowe i sale pracy, błyszczące nikle i polerowane boazerje kontrastują z surowością starych murów klasztornych.

Program nauki obejmuje ćwiczenia fizyczne i umysłowe, kurs muzyki, śpiewu i tańca, a przede wszystkim uświadamianie dziewcząt co do roli kobiety.

Rola kobiety, jako żony i matki, przywiązanie do kraju i do rodziny, pielęgnowanie ciała i duszy, osiągnięcie odporności organizmu, a równocześnie zachowanie harmonijnej budowy kobiecej.

Mussolini bowiem pragnie, aby zdrowe i odważne Włoszki duchowo i fizycznie mogły dać szczęście dzielnym mężczyznom, którzy się kształcą w podobnych szkołach męskich.

## PARAGWAJSKA „GWIRANI”.

Już w najdawniejszych czasach była kobieta, zwana w Paragwaju „gwirani”, uwielbianą istotą, trzonem i podporą rodziny. Wraz z zaszczętami dźwigała na swych barkach także największe obowiązki. Ona to musiała dbać przede wszystkim o uprawę roli, prowadzić gospodarstwo, zaopatrywać rodzinę w garderobę i wychowywać potomstwo. Lecz przed XIX stuleciem była „gwirani” mimo wszystko niewolnicą swojego męża.

Dopiero po krwawych walkach w r. 1870 i 1871, podczas których padli niemal wszyscy mężczyźni, zmuszone były kobiety paragwajskie zawierać małżeństwa z murzynami i indjanami. Powstała tam nowa ra-

sa ludzi wyjątkowo pięknych z małżeństw z Indjanami, brzydkich i wulgarnych ze związków z czarnymi. Dzięki kobietom paragwajskim zachowały się po dziś dzień stare tradycje tego kraju. I dzisiaj, jak dawniej, odgrywa kobieta - matka rolę dominującą, bez względu na to, czy jest matką ślubną, czy nieślubną. Dzieci wychowuje się w szkołach i na uniwersytetach, lecz mimo otrzymanego wykształcenia, uwielbiają one swe matki, darząc je nie spotykaną nigdzie czcią i przez całe życie myślą o zapewnieniu im spokojnej starości.

Mężczyzna paragwajski żeni się bardzo rzadko. Prawdę mówiąc łączy się we wspólnym ognisku domowym z tak zwaną „compagniera”, czyli towarzyszką, o którą dba pilnie, o ile zarabia, i łoży również na wychowanie dzieci. Najczęściej musi jednak compagniera myśleć sama o swoim utrzymaniu. Na wsi uprawia rolę, w mieście handluje owocami, jarzynami, nabiałem i t. d. W ostatnich czasach polepszyła się sytuacja kobiet w Paragwaju o tyle, że mężczyźni emigrują do sąsiednich krajów i posyłają stamtąd część swych zarobków towarzyszkom życia i dzieciom. Kobieta musi jednak sama decydować o wszystkim: o kupnie i sprzedaży roli, o nabywaniu maszyn rolniczych, o wychowaniu dzieci i t. d.

Taki tryb życia prowadzą przeważnie kobiety z ludu, których jest większość. Natomiast nieliczna arystokracja Paragwaju, wywodząca się z potomków zdobywców Paragwaju, Hiszpana Lopeza, prowadzi życie odosobnione, a kobiety żyją zupełnie jak w haremach. Pielęgnują tylko swoją urodę, w samej rzeczy niezwykłą, nie objawiają jednak żadnego zainteresowania ani dla spraw publicznych, ani dla literatury czy sztuki. Najwyżej przeczytała czy owa młoda dziewczyna jakiś sentymentalny romans.

Gdy Paragwajczyk stara się o względy młodej panny, nie spotyka jej ani na ulicy, ani w lokalach publicznych, ani też w domu. Uprawia tylko niezmordowanie promenady pod jej oknami. Po kilku tygodniach panna rzuca mu kwiat przez okno, na dowód, że wielbiciel ma szanse otrzymania jej ręki. Dopiero po dwu latach takiej konsekwentnej promenady pod oknem, wolno mężczyźnie przestąpić próg domu ukochanej, gdzie zostaje przyjęty jako oficjalny narzeczony. Dziewczęta paragwajskie z arystokracji są płytkie i puste, lecz prócz niezwykłej urody posiadają jeszcze te zalety, że są wzorowymi matkami, wiernymi i ciętliwymi żonami, pierwszorzędnymi gospodyniami, przytem zachowują zawsze niezmaconą pogodę ducha.

## RADY GWIAZDY FILMOWEJ.

Uroczą artystkę filmową Kay Francis, postanowiła na podstawie własnych do-

świadczeń udzielić młodym kobietom i dziewczętom różnych praktycznych rad: jak mają postępować w życiu.

Radę te brzmią nast.:

„Głównym wdziękiem młodych kobiet i dziewcząt powinna być ich bezwzględna prostota. Powinny one zawsze wystrzegać się odgrywania w życiu jakichś sztucznych ról. Najbardziej wartościowymi czyni je ich naturalność i prostota”.

„Gdy młoda kobieta udaje się na przechadzkę z młodym mężczyzną, to nie powinna mu nigdy opowiadać o innych mężczyznach, którzy ewentualnie mogliby zostać jej kochankami. Dowodzi to bowiem wielkiego braku taktu”.

„Kobieta nie powinna nigdy dać czekać na siebie mężczyźnie. Wyszło to już całkowicie z mody. Niemile minuty oczekiwania mogą potem zepsuć całe godziny ich wspólnego pobytu”.

„Kobieta musi umieć słuchać tego, co opowiada jej mężczyzna. O ile sama mówi przez cały czas, to bardzo prędko zaczyna działać na niego nużąco”.

A w końcu ostatnia praktyczna rada: „kobieta nie powinna dać nigdy odgadnąć mężczyźnie, że może się on jej podobać...”

Kay Francis doradza wreszcie następujące trzy rzeczy młodym mężczyznom:

„Nie okazujcie nigdy, iż macie za dużo pieniędzy! Nie chwalcie się waszemi sukcesami u kobiet! Nie dawajcie nigdy do poznania kobietom, że sport jest dla was wszystkim!”

Zdaniem doświadczonej uroczej artystki filmowej Kay Francis można bardzo łatwo poznać charakter i wychowanie człowieka po tem, w jaki sposób płaci on rachunek w jakimś lokalu publicznym...

## ŻONA ADJUTANTA.

Z Szanghaju donoszą, że żona marszałka Czang - Kaj - CzeKa otrzymała urzędowo przydział do sztabu głównego w charakterze adjutanta swego męża.

Żona marszałka Czang-Kaj-CzeKa w ciągu ostatnich dwu lat pełniła już funkcje adjutanta i sekretarza dyktatora Chin biorąc czynny udział w posiedzeniach wojskowych i towarzysząc mężowi na froncie. Jest ona młodą i wyjątkowo ładną kobietą. Otrzymała wyższe wykształcenie w St. Zjednoczonych.

## REKORD MACIERZYŃSTWA.

W kościele miasteczka Bobenheim, znajdującego się niedaleko Sztuttgartu, wmurowano tablicę na cześć niejakej Barbary Schmotzer, która żyła w drugiej połowie XV wieku i odznaczyła się tem, że miała 53 dzieci (38 synów i 15 córek). Fakt płodności pani Schmotzer ma być historycznym.



# Świat kobiecy w ilustracji



## ŚWIĘTO KWIATÓW.

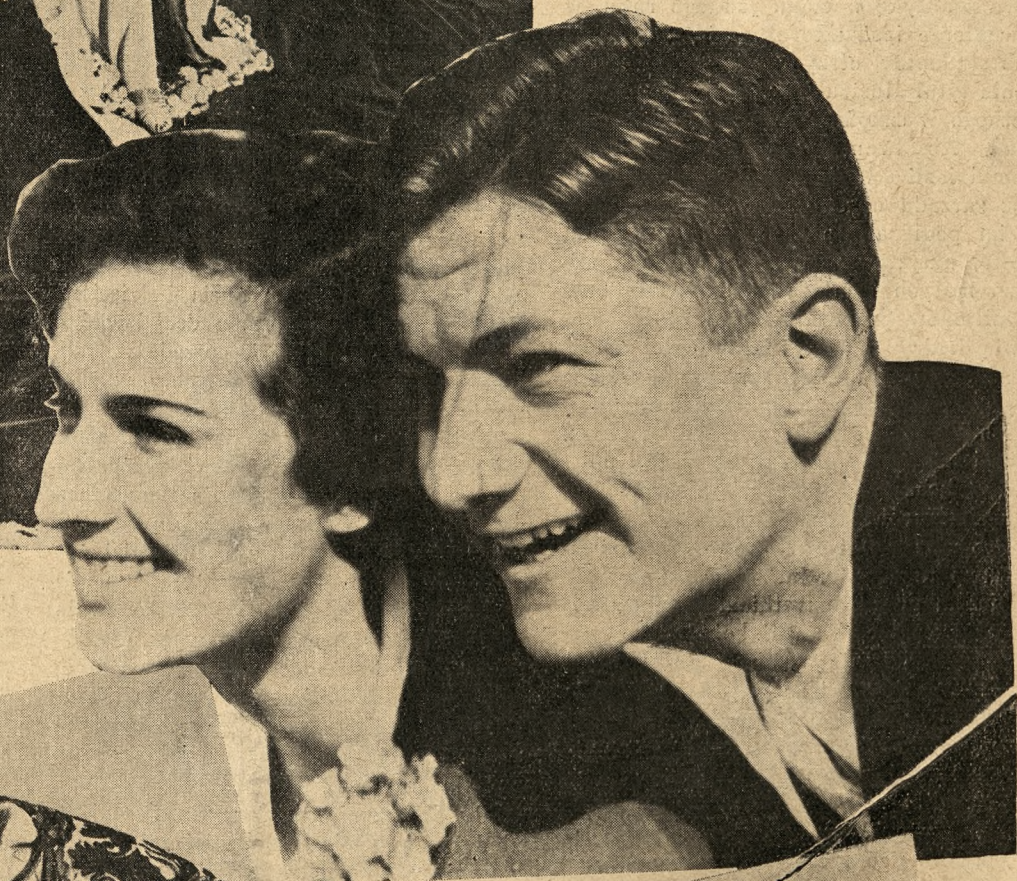
W mieście Pasadena (Kalifornia) jest obecnie b. uroczyste obchodzone tradycyjne święto róż.

Na zdjęciu widzimy wybraną na tegoroczną królową róż, pannę Muriel Cowan, ustrojoną w przepyszne szaty, odpowiadające jej nowemu poetycznemu majestatowi.

## AMERYKANIE W 100%.

Studenci Edmund Lidblom i Luisa Conner ze San-Francisco otrzymali I-szą nagrodę na konkursie na najbardziej typowych przedstawicieli młodzieży amerykańskiej.

Nagroda składa się ze sumy 1.000 dolarów i bezpłatnej podróży naokoło świata.



## HISTORYCZNE OBUWIE

W muzeum historycznym w Dreźnie znajduje się bogata kolekcja obuwia różnych epok.

Zdjęcie nasze przedstawia; na prawo obuwie Emanuela Kanta; na lewo brokatowe pantofle Napoleona I, noszone przezeń w dniu koronacji.







#### PODRÓŻE KSIĘSTWA KENTU

Książę i księżna Kentu udają się do swojego samolotu na lotnisku Croydon pod Londynem, stąd mają udać się do Monachjum. W Monachjum młoda para ma zamiar spędzić tydzień w towarzystwie hrabiostwa Toering-Jettenbach. Hrabina Toering-Jettenbach jest siostrą księżny Kentu.

#### REWJA MODY W PRZESTWORZACH

Zdjęcie nasze przedstawia Rewję mody a właściwie rewję nainowszych modeli kostiumów kąpielowych i plażowych.

Pokaz modeli ma miejsce w kabinie samolotu, wiozącego podróżnych z New-Yorku do miejscowości kąpielowej na Florydzie, Miami.

#### BULKA ZA CZEK.

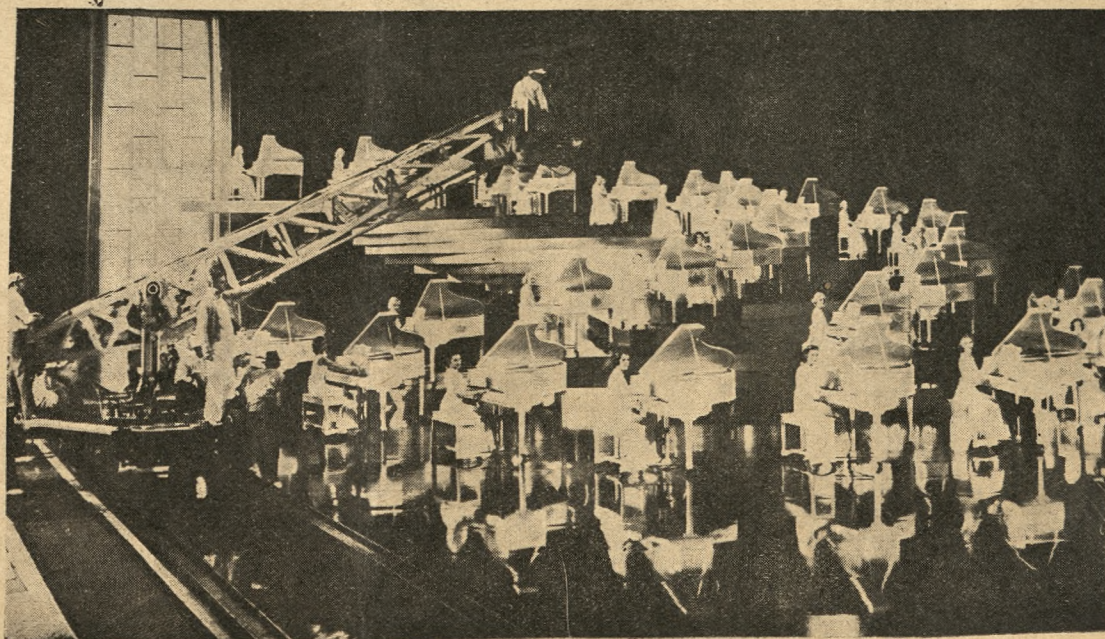
Głośna w Paryżu historia stowarzyszenia przemysłowego „Europa”, które miało zażegnać kryzys, jeszcze nie ma epilogu.

Oto widzimy, jak w piekarni można dostać piękną bułkę, za coś, będącego ni to cukiernikiem, ni pieniądzem pomysłowej organizacji.

#### CZAR PIĘKNA I MUZYKI.

Urodziwe kobiety, kontrast białych instrumentów i czarnego szkła podłogi przyczyniają się do podkreślenia nieśamowitego czaru jednej ze scen filmu „Grabarze Złota”.

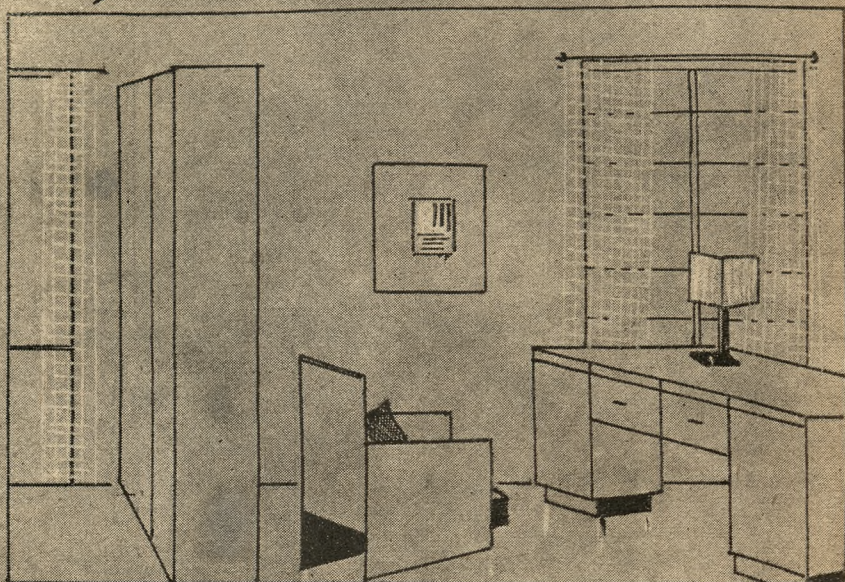
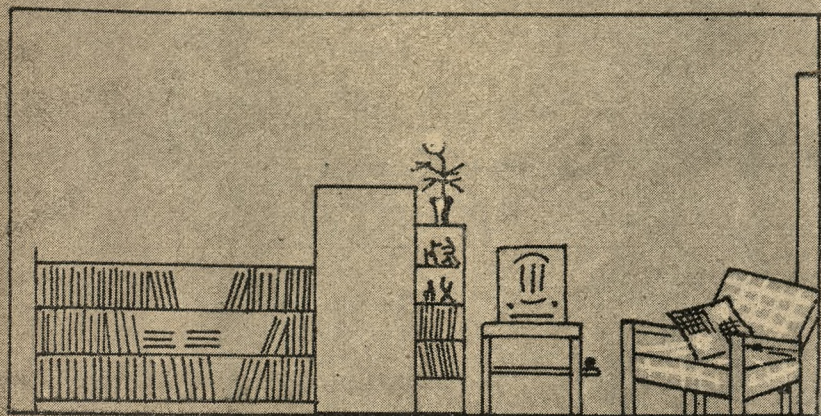
„Grabarze Złota” jest to najnowszy angielski film produkcji 1935 r.



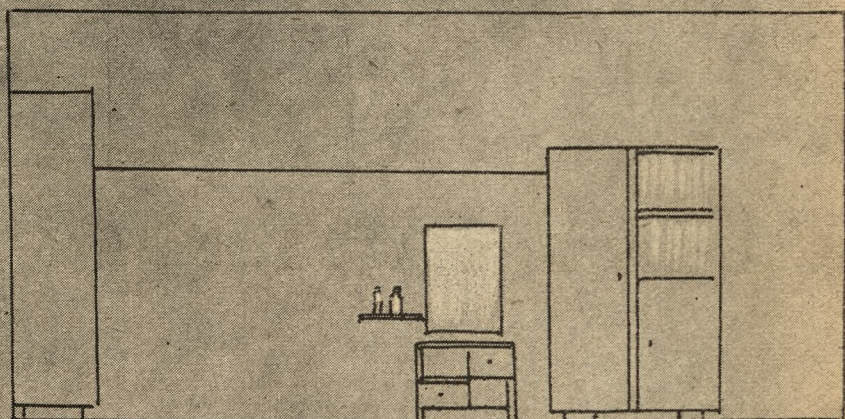
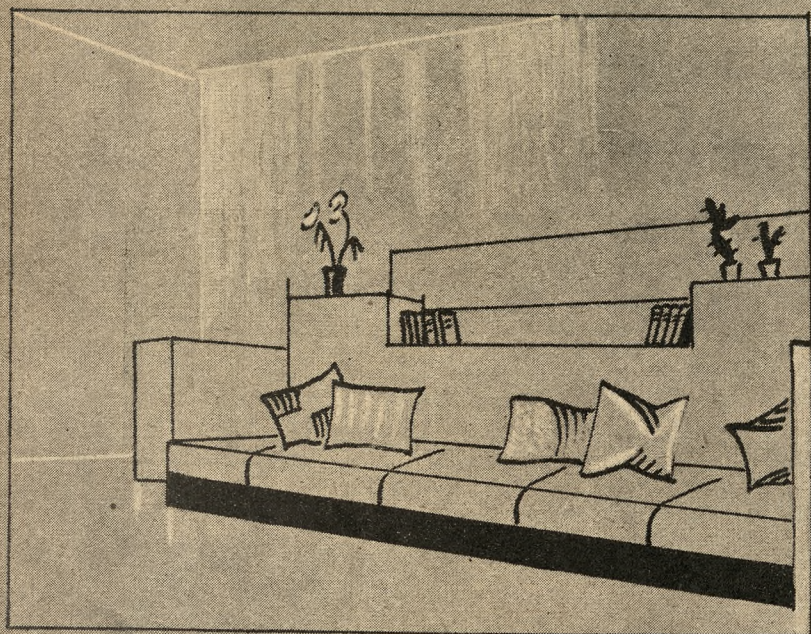


# Jeden pokój mieszkalny.

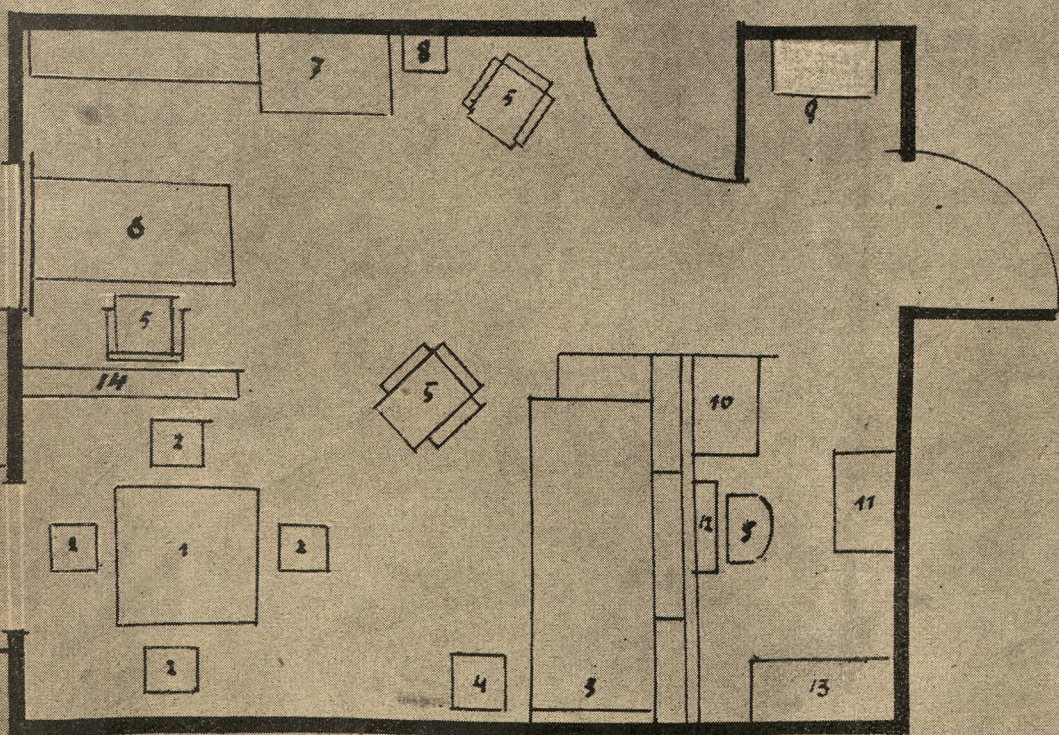
fragment pokoju z biurkiem.



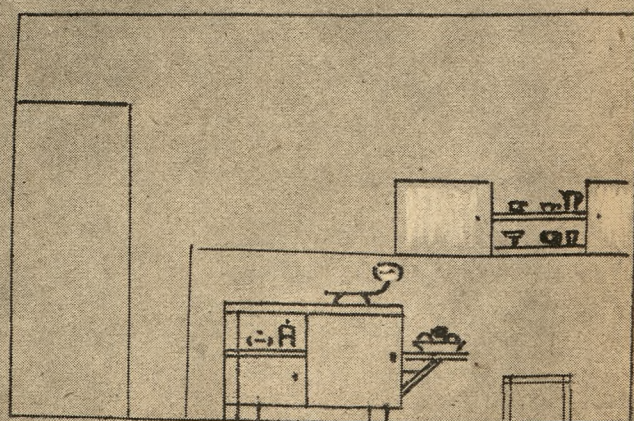
fragment pokoju z łóżczkiem o wysokim oparciu.



kącik pani: toaleta, szafka i szafa na ubranie.



plan pokoju skala 1:50



kącik gospodarski: szafka-lodownia na blacie EMS z boku półka składowa.



# Mieszkam w jednym pokoju

Bardzo często dziś skupia się całe życie domowe w jednym pokoju. Ciężkie czasy, warunki mieszkaniowe tak się układają i trzeba się z tem pogodzić. Nie narzekać na niewygodę, na ciasnotę i ograniczenia życia towarzyskiego, ale trzeba obmyśleć sposoby i znaleźć radę na rozwiązanie tego zasuplanego węzła.

A więc tak urządzić pokój, aby móc w nim i odpoczywać i pracować, załatwiać gospodarskie i toaletowe sprawy i czasem przyjąć miłego gościa.

Mamy jeden duży pokój i musimy go mądrze urządzić. Jeśli mamy możliwość umeblowania go nowymi sprzętami, rzecz jest zupełnie prosta. Wymierzamy powierzchnię pokoju i meble, które mamy kupić, obliczamy ich ilość i rozmyślamy nad użytecznością i koniecznością ich istnienia. Wreszcie myślimy o całości, o estetyce, o scharmonizowaniu wszystkiego, co się w nim znajduje.

Ale jeśli musi się poprzestać na starych i zbieranych meblach, to i z tem trzeba dać sobie radę. Zresztą mamy stare piękne meble i często do nich jesteśmy bardzo przywiązani, tylko je trzeba odpowiednio ustawić. Naprzykład podzielną pokój na części; każdy kąt służy do czego innego: do pracy, do odpoczynku, do spraw gospodarskich. Oczywiście, że pokój nie może być przeładowany, ani podzielony przepierzeniami, okropnie to wtedy wygląda. Można meble zbierane dobrać tak, aby nie raziły kolorem drzewa i obiciami (te ostatnie łatwo zmienić na jednakowe).

Podajemy plan takiego pokoju. Jest to rodzaj i wymiar pokoju najczęściej spotykanego w nowych i starych mieszkaniach miejskich, o jednym oknie i balkonie.

Dzielimy taki pokój przeznaczeniami na części.

*Pierwsza część* na lewo od drzwi z przedpokoju przeznaczona jest na gospodarstwo i toaletę pani. Stoi tu stolicek z półkami i z maszynką spirytusową lub maszynką gazową. Stolik ma blat z grubego bardzo szkła lub jest pokryty linoleum celem łatwego zmywania. Na ścianie półka-szafka na podręczne zapasy i naczynie. W tym kącie stoi szafa na ubranie i bieliznę pościelową i osobistą, mała umywalnia i wieszak na ręczniki. Dalej stoi toaletka, pod tylną ścianą zabudowanego tapczanu i szafka na szkło, porcelanę i bieliznę stołową. Ten kąt najbardziej wymaga praktycznego rozmieszczenia i wygody. Podłogę do-

brze byłoby pokryć linoleum a ściany nawet wyłożyć kolorowymi kafelkami na wysokość 150 cm.

*Druga część* pokoju to tapczan do spania i stół jadalny. Tapczan ma oparcie wysokie z półkami na książki i drobiazgi, boczna szafka może służyć jako szafka nocna. Po między drzwiami na balkon i tapczanem stoi stół jadalny i krzesła. Będzie to niewielki stolik i dobrane do tego krzesła i jeśli są zniszczone, odnawiamy je w domu lub wzywamy domowego stolarza. Na krzesłach kładziemy płaskie kolorowe poduszki, przywiązane tasiemkami. Na stole lniana mreżkowana serwetka i kwiaty w pięknej, skromnej majolice. Obok tapczanu mały stolicek na lampę z abażurem i fotel. Fotel może być bardzo wygodny, choć zniszczony, nowe są bardzo drogie. Pokrywamy go więc tkaniną tą samą, co tapczan lub poduszki na krzesłach. Mogą to być angielskie kretony wzorzyste, które zawieszamy też jako zasłony u okien, albo tkaniny lniane wileńskie i nowogrodzkie.

Pod oknem stoi biurko i fotel do pracy, ustawione tak, aby światło padało od lewej strony. Pod ścianą na przeciw biurka, stoi półka i szafka na książki i papiery. Jeśli jest jeszcze miejsce, to gdzieś niedaleko pieca stolik na radio i fotel.

*Kąt do pracy* odgradzony jest od stołu jadalnego półką obustronną. Od strony drzwi balkonowych stoją kaktusy, rośliny. Nie wyrzekajmy się tych ostatnich mimo ciasnoty, trochę pomysłowości, a nasze paprocie i kwiaty ozdobią mieszkanie, nie zajmując wiele miejsca. Przy drzwiach może stać skrzynka z połowem łóżkiem. Skrzynka z ładnego drzewa przykryta kilimkiem z rzuconymi dekoracyjnymi poduszkami wygląda dyskretnie, nikt się nie domysli, że kryje w sobie łóżko.

Tak obmyślony pokój może skutnić całe życie domowe, nie dając odczuć ciasnoty i niewygody. Stwarza nastrój przytulny, może wyglądać elegancko.

Zbieranina mebli roztasowana sprytnie grupkami i odcieniami drzewa nie stwarza wrażenia chaosu.

Najłatwiejsze rozwiązanie kwestji meblowej, to stałe wyzbywanie się niepotrzebnych rzeczy i wymienienie lub dokupywanie do kompletu najpotrzebniejszych. Ogromny mają urok i przepiękne są w odcieniach i barwie stare jesiony i orzechy, ale nie będą do nich pasowały meble ciężkie, dębowe, a znów do dębu nie pasują mahonie. Do sta-

rego stolika empire nie będzie pasował klubowy fotel. Znów do starego wygodnego fotela wolterewskiego pokrytego skórą lub przyjemnym pokrowcem, nie przystawimy modernistycznego stoliczka. Pamiętajmy też dobrze, że sprzątanie w takim pokoju do wszystkiego nie może być utrudnione przez ustawienie gablotek i konsolek z galeryjkami. Tam gdzie koncentrują się wszystkie zajęcia domowe i odpoczynek po pracy, meble muszą być higieniczne, wygodne i praktyczne.

*Spis mebli według planu pokoju:*

1. stół jadalny,
2. krzesła,
3. tapczan,
4. stolik z lampą,
5. fotel,
6. biurko,
7. szafa-półka,
8. stolik do radja,
9. piec,
10. szafa na szkło i bieliznę stołową,
11. stolik gospodarski,
12. toaleta,
13. szafa na ubranie,
14. półka obustronna lub szafa.

WITOLD NOSKOWSKI

## Benzyna i eter...

Z różnych wyczynów techniki, które sprawiły, że świat się skurczył do jakiejś cząsteczki siebie samego z przed stu lat — radio jest nietylko jedynym cudem nieprzewidzianym przez Juliusza Verne'a, lecz najzłośliwszym ze wszystkich figlów, jakie człowiek spłatał czasowi i przestrzeni.

Bardzo szanownym jest aeroplan, ze swoimi iluś tam setkami kilometrów na godzinę i z owym słynnym lunchem w Warszawie, na który miało się wyjeżdżać z Paryża po wcale późnem pierwszym śniadaniu (i może będzie się jeszcze kiedyś wyjeżdżało, chociaż teraz nie można). Ale jakimże belkotem dziecięcym jest ta cała latająca gastronomia w stosunku do przygody, jaką opisał mi w liście z Sumatry młody polski dyplomata, a która zasadzała się na tem, że zwiedzając po drodze do Warszawy jakieś dalekie okrawki Chin, natknął się gdzieś niedaleko Tybetu na misjonarzy polskich, a ci potraktowali go najświeższymi, prosto z głośnika wiadomościami o tem, co dzisiaj wieczorem słychać w Polsce. Mój przyjaciel dowiedział się, że fundusz drogowy odrodzi szosy polskie nieczem kuracja Woronowa, został poinformowany o nainowszych uchwałach Związku Filatelistów Polskich — i był głęboko wzruszony.

Ja sam tego lata schwyciłem się lekko za głowę, gdy wracając w Truskawcu od Naftusi zobaczyłem koło dancingu mych siostrzeńców.



k którzy przyjechali autem potańczyć sobie trochę i oświadczyli mi, że na kolację, na wczesną wiejską kolację, wróć „oczywiście“ do siebie, — to znaczą do majątku, z którego za moich czasów wybierało się końmi do Truskawca najmniej na dwa dni, bo jechało się z dwoma popasami, jednym długim i drugim dość długim, jako że trzeba było pokonać zgórą czterdzieści parę kilometrów...

Ale naprawdę uświadomiłem sobie różne przemiany wówczas, gdy dostawszy się takim samym jak oni samochodem na taką samą wieś podkarpacką, pojechałem sobie w kilka sekund do Weroni, aby uczestniczyć w przedstawieniu „Aidy“ na starorzymskiej arenie, słysząc jak tłum warjuje za Laurim-Volpim, który śpiewa Radamesa i smakować wspaniałą orkiestrę, mając jeszcze w ustach smak takich klusek z serem, o jakich w Weronie nikomu się nie śniło. Dla ludzi, którzy mają dość odwagi, oraz dość pieniędzy, aby podróżować aeroplanami, świat skurczył się do jakiejś niezbyt wielkiej piłki nożnej. Ale dla tych, którzy mają w swym radjoodbiorniku krótkie fale — kula ziemiska właściwie niebardzo istnieje, w swym dawniejszym kształcie i wymiarach. Ostatecznie trudno zaprzeczyć faktowi, że człowieka z Ameryki słyszymy tak, jakby siedział w drugim pokoju. Więc gdy rozum powiada nam, że mamy do niego tyle, a tyle tysięcy kilometrów, to, naprawdę, tem gorzej dla rozumu, a tem lepiej dla wyobraźni.

To też zdaje mi się, że najgłębszym, najtrwalszym i chyba najdonioślejszym wpływem radja na świat będzie to, iż przyszłe pokolenia będą miały szczególnie wyostrzoną wyobraźnię. Słuchacze reportaży, oper, słuchowisk, dramatów, przemówień politycznych są pod niesłychanie wysokim ciśnieniem wyobraźni, która dorabia im do rzeczy słyszanych, wszystko co trzeba widzieć.

Znam młodą osobę, która słuchając ognistych przemówień Hitlera wyobraziła go sobie jako porywającą „blonde Bestie“ o błękitno-stalowych oczach, które są jak dwie tolekańskie klingi, o wzroście Siegfrieda i o ramionach boksera wagi piórkowej.

Jestto tak, czy nie — w każdym razie radjo jest jak stworzone do budzenia wyobraźni. Mówiłem z ludźmi, którzy asystowali przy owych słynnych przez swą znakomitą reżyserję „spontanicznych manifestacjach“ w berlińskim Sportpalaście, urządzanych z udziałem i na benefit Hitlera, Goeringa oraz Goebbelsa. Opowiadali mi to, co widzieli — i zawsze miałem wrażenie, iż ja, siedząc przy głośniku, widziałem wszystko o wiele wspanialej, hucz-

niej i w większym wymiarze. Tępot maszerujących oddziałów, okrzyki, które waliły się lawinami w olbrzymiem crescendo gdy „Furher“ podjeżdżał do gmachu, wrzaski „Heil!“ i „Sieg!“, okrzyki „Deutschland uber Alles!“ — wszystko to jest radiofoniczne do jakichś fenomenalnych wymiarów.

Wytrenowanie wyobraźni przez radjo wydaje mi się przeto pewnikiem. Poprostu dlatego, że gdy ciągle będziemy pracowali tym duchowym mięśniem, to musi urosnąć i stwardnieć.

#### MIESIĄC WALKI O SZKOŁĘ POLSKĄ ZAGRANICĄ.

Od połowy stycznia Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą rozpocznie swą doroczną zbiórkę, na podtrzymanie bytu i zakładanie szkół polskich wśród wychodźstwa.

Na temat potrzeb szkolnictwa polskiego zagranicą przemawiał ostatnio na konferencji prasowej prezes Zarządu dr. Bronisław Hełczyński, prezes N. T. H. Na konferencji byli obecni prócz przedstawicieli prasy delegat ministerstwa oświaty dr. Zdrojewski, dr. Laskownicki z kancelarii cywilnej P. Prezydenta oraz dyrektor Funduszu p. Lenartowicz.

Jak wiadomo Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą został utworzony w 25-tą rocznicę strajku szkolnego w 1905 r. Za ledwie 3/4 dzieci polskich uczy się w szkołach Rzplitej. Reszta, bądź to w środowiskach mniejszościowych, bądź też wychodźczych w bardzo skromnym stopniu ma zapewniony dostęp do źródła polskiej nauki. Miljonowej rzeszy dzieci polskich, rozrzuconych po całym świecie trzeba dać szkołę polską, aby nie zapomnieli ojczystego języka i przynależności narodowej. Dzieło to wymaga zmobilizowania nie tylko wielkich sił moralnych, lecz i odpowiednich środków materialnych. Stan obecny, który umożliwia naukę w szkole polskiej za ledwie 5 proc. dzieci na obczyźnie, a naukę języka polskiego — 30 proc., należy uznać za bardzo smutny. Tem większy trzeba uczynić wysiłek, żeby zgęścić sieć szkolnictwa na obczyźnie.

Dla osiągnięcia tego celu należy stworzyć kierowniczą komórkę naukowo - pedagogiczną przy Światowym Związku Polaków z Zagranicy i odpowiednik jej w każdym kraju, pomoc nauczycielstwu polskiemu zagranicą w doksztalcaniu się, dać dzieciom książki polskie.

Ofiara na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą, to nie jałmużna, ale obowiązek obywatelski, od którego uchylić się nie można.

POLA PAWŁOWSKA

## NASZA MÓWNIKA

NASZE PRZEDSZKOLE.

Staraniem Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Krasnymstawie, prowadzone jest przedszkole dla najbardziej potrzebującej dziatwy. Do przedszkola uczęszcza 34 dzieci, lecz liczba ta jest minimalna w porównaniu z

nie można ogarnąć i otoczyć swą opieką, ze względu na szczupłość lokalu i związane z tem koszty. Wszak taka gromadka codziennie musi dostać obiad, składający się z pożywnej zupy, oraz porcji chleba, lokal musi być odpowiednio ogrzany, gdyż dzieci przychodzą bardzo zziębnięte i dopiero w przedszkolu rozgrzewają się, zdejmując marną odzież, często odziedziczoną po starszych. Są wypadki, że dziecko przychodzi bez palta, bo go niema, wówczas pani kierownicza apeluje do dobrych i ofiarnych serc po palteczko, buciki, lub sweterek. A przecież tyle już było zbiórki odzieży na powodzian i t. p., że doprawdy panie członkinie są nieraz w nielada kłopotcie, jednak zwycięża widok biednego zziębniętego dziecka i jeszcze się coś znajdzie, często nawet w zupełnie dobrym stanie. Ot, boryka się związek, jak wreszcie każda organizacja, niosąca pomoc biedocie. W tym celu więc urządzamy różne imprezy, jak loterie fantową, zabawy taneczne, zabawy dla dzieci, aby tym sposobem zebrany grosz obrócić na potrzeby przedszkola, gdyż pokarm, jaki dzieci tam otrzymują, przeważnie jest podstawowem ich pożywieniem.

W okresie świątecznym urządzona była choinka dla wychowanków „szkółki“. Pani kierownicza opracowała z dziećmi obrazek sceniczny, inne śpiewały chórem. Oczywiście na tę uroczystość zaproszono rodziców i sympatyków przedszkola. Godne było uwagi zachowanie się dziatwy wobec tak liczego audytorjum, a zwłaszcza wobec własnych rodziców, którzy z radością w oczach spoglądali na swoje pociechy także rozbawione, nie mając słów wdzięczności za opiekę i naukę ich dzieci, opowiadając na ten temat różne niesamowite historie.

Choinka, zabawa — to nie wszystko, dzieci czekają na coś więcej, przeczuwają, że spotka je jakaś niepolizianka i intuicja ich nie zawodzi. Oto kazano im zasiąść za stołem, obfitującym w smaczne i pożywne rzeczy. Jadły z apetytem, a resztę porcji zabierały do domu. Lecz i to jeszcze nie wszystko. Wszak nie nadarmo całą jesień panie członkinie zbierały się na koła pracy, pewno one coś przygotowały dla swych wychowanków. Znalazły się więc i paczki odzieżowe, zawierające sukienki lub ubranka, ciepłe szaliki i rękawiczki. Radości i okrzykom nie było końca, wszczął się hałas, chęć ubierania się w te dary zaraz, przymierzanie. Wreszcie rodzice zwartą masą zaczęli gnać się do pań organizatorek i kierowniczek przedszkola, dziękując i błogosławiąc za tę chwilę radośną tak dla nich, jak i dla ich dzieci, za opiekę i pracę. A dzieci zaśpiewawszy najulubieńszą kolendę, podziękowały chórem i poszły uśmiechnięte, uradowane i dziwnie promienne, narzekając tylko, że te świąteczne wakacje to wcale niepotrzebne, bo w „szkółce“ najlepiej“.

Dziecko napewno do starości pamiętać będzie czas spędzony w przedszkolu i nawet wówczas bardziej to oceni, a kto wie, może dla niektórych będzie to najmiłsze wspomnienie dzieciństwa.

Krasnystaw, dnia 6.I 1933 r.



# Ogrodnictwo i hodowla

## CHOLERA KUR

Cholera kurza jest to choroba zakaźna i bardzo groźna. Powoduje ją zarazek, który rozmnaża się niesłychanie szybko i jeśli wczas nie położymy tamy jego rozwojowi, cała hodowla może wyginać.

Pierwszymi objawami tej zarazy są: kompletny brak apetytu i smutek ptaka.

Chore kury stają się apatyczne, odbijają się od stada i chowają po kątach, gdzie stoją nieruchome z obwisłymi skrzydłami.

Inne, u których choroba poczyniła już dalsze postępy, leżą na ziemi z nastroszonymi skrzydłami. Jeszcze inne, niezdolne do utrzymania się na nogach chwieją się i padają, nie mogąc powstać, mimo wysiłków.

Dalszym dopiero etapem jest biegunka. Najpierw wydzieliny stają się rzadkie i częste, mają barwę żółtawą. W miarę postępu choroby stają się coraz bardziej wodniste, zielonkawe i śluzowate.

Ptaka chudnie w przerażającym tempie. Grzebień i zausznicze zmieniają barwę z czerwonej na siną.

Oczy przymknięte — i śmierć następuje szybko, wśród objawów kurczów.

Czas trwania choroby jest bardzo różny. Czasem ptaki padają tak nagle, że nawet dobremu hodowcy trudno się zorientować w przyczynie śmierci.

Czasem jednak choroba ciągnie się tygodniami. Jednak niezależnie od przebiegu choroba zwykle kończy się śmiercią.

Leczenie daje zwykle nikłe wyniki i cała troska hodowcy winna iść w kierunku ochrony zdrowych jeszcze egzemplarzy. Pamiętać należy, że zarazki cholery tkwią w wydzielinach i z tych zostają przez wiatr roznoszone w różnych kierunkach.

Chore, lub nawet podejrzone o chorobę ptaki powinny być natychmiast zabijane i bez otwierania głęboko w ziemi zakopywane, po uprzednim przysypaniu ich wapnem.

Kurniki i wybiegi należy starannie zdezynfekować. O ile tylko można, kury na jakiś czas przenieść gdzieś indziej.

Dezynfekcja kurnika musi być dokładna, t. zn., że należy go kompletnie wyczyścić — części drewniane, o ile tylko można, spalić i zastąpić nowymi. O ile to niemożliwe, sbeblować górną warstwę drzewa, wióry spalić, a drzewo wyszorować mocnym ługiem, a jeszcze

lepiej dwuprocentowym roztworem kwasu siarczanego.

Wreszcie należy kurnik porządnie wykadzić; można do tego celu użyć formaliny, albo też następującej mieszaniny:

Bierze się na każde 50 m<sup>3</sup>. przestrzeni około 1½ kg. chloranu wapna, który się rozrabia na papkę ½ l. wody — do tego dodaje się ¾ kwasu siarczanego i wylewa się wszystko na szeroką miskę, którą się ustawia na środku kurnika i miesza się tak długo, aż zaczną się tworzyć opary.

Wówczas zamykamy kurnik szczelnie (wszelkie dziury i szpary powinny być poprzednio dokładnie opatrzone). Tak zostawić należy na 24 godziny. Po tym czasie należy bardzo starannie wywietrzyć.

Zewnętrzne ściany kurnika należy wysmarować silnym roztworem kreoliny.

Ptaki trzymać ciepło, żywić dobrze, o ile możliwości ziarnem i do wody do picia dodawać jakiegos środka dezynfekcyjnego.

W razie pojawienia się tej zarazy w okolicy, zastosować dezynfekcję od razu — nie wypuszczać drobiu jakiś czas, a przede wszystkim baczyć, aby obcy ludzie nie mieli dostępu do podwórza — pilnie obserwować kury i wszystkie podejrzane bodaj o chorobę ptaki wybijać od razu.

## ZIMOWE PRACE KOŁO DRZEW OWOCOWYCH

Gdy liście już całkiem z drzew opadną, najłatwiej wykonywać odpowiednie cięcia drzew i przerzedzanie korony.

W tym momencie najłatwiej możemy się zorientować, które gałęzie należy usuwać, a które skrócić — teraz dopiero możemy sobie zdać sprawę z tego, czy poprzednie cięcia były przeprowadzane umiejętnie.

Dobrze sformowaną można nazywać tylko tę koronę, która ma odpowiedni kształt i której gałązki mają pewną proporcję i gdy do nich wszystkich światło i powietrze ma dostęp swobodny.

Jeżeli będziemy koronę drzewka od zarania jego życia odpowiednio przycinać, to nie trudno nam będzie uzyskać odpowiednią jej formę. Trzeba np. stale dbać o to, aby wszystkie gałązki, rosnące do środka korony były usuwane. Gałęzie główne trzeba tak kierować, aby rosły nazwewnątrz.

Gałęzie główne należy od razu w pierwszym stadium ich rozwoju

skracać co roku o trzecią część — tym sposobem wybijają najsilniejsze oczka i uzyskamy odpowiednią grubość tych pędów.

Skracamy te gałęzie tak, aby ostatnie oczko było zawsze skierowane na zewnątrz, będzie to podstawą do dobrej korony — później szemi cięciami tylko ją wyrównujemy.

Odpowiednie sformowanie korony i coroczne umiejętnie cięcie bardzo wydatnie na dobry stan drzewa wpływa, oraz na wydajność owoców.

Pamiętać należy, że nie tylko dobre odżywianie ma wpływ na ilość i jakość owoców, ale zależy to również w znacznej mierze od takich czynników, jak odpowiednie cięcie, czyszczenie i t. p.

Wszystkie te zabiegi muszą być wykonane bardzo starannie i umiejętnie.

Jeżeli nasze drzewa od młodości będziemy starannie i umiejętnie podcinać, to w późniejszym ich wieku tylko bardzo rzadko będziemy się musieli uciekać do pomocy piłki. Pamiętać należy, że nigdy z podcinaniem nie należy tak długo czekać, aż korona na drzewie zbyt się zagęści i gałązki będą się wzajemnie krzyżować i jedna o drugą ocierać, bo przecież szkoda tych soków, które idą na wytworzenie owych bezwartościowych gałązek, które i tak usunąć trzeba.

Niestety, zwłaszcza w małych amatorskich ogródkach często spotykamy korony zagęszczone do nieprawdopodobnych granic i nadmiernie się rozrastające, co również jest objawem bynajmniej niepożądanym.

Każdy właściciel drzew owocowych musi stale o tem pamiętać, iż jeśli chce mieć dorodne i obfite plony owoców, racjonalnego cięcia nie może zaniedbywać.

Przy podcinaniu należy zwracać baczną uwagę na wszelkie rany, skaleczenie i t. p. uszkodzenia, które drzewo ewentualnie mieć może.

Wszelkie rany, powstałe z cięcia — skaleczenia i t. p., należy przed nastaniem mokrych dni zabezpieczyć przed gniciem, od którego drzewo bardzo cierpi.

Każdą większą ranę należy zasmarować carbolineum sadowniczym lub maścią ogrodniczą tak, aby zgnilizna nie mogła się dalej posuwać, gdyż powietrze i wilgoć nie ma do rany dostępu. Przed zasmarowaniem rana musi być doskonale wyczyszczona i wyskrobana



aż do zdrowej tkanki. Praktycznym okazuje się nieraz obwiązanie zasmarowanych ran skrawkami worków, umocowanych drutem lub sznurkiem.

Równocześnie z cięciem drzewa przeprowadzamy gruntowne oczyszczanie jego.

Przy pomocy specjalnych drucianych szczotek oswabadzamy korę z wszelkich obcych naleciałości jak: mchy, porosty, grzybki i t. p. Jednocześnie niszczymy zimujące na drzewach owady i ich zarodki.

W czasie czyszczenia podkładamy pod drzewo gruby papier lub płachty, na które nieczystości mogą spadać i z których je łatwo zebrać i spalić.

Po ukończeniu tych prac należy drzewo doskonale wybielić i to nie tylko pień, ale i wszystkie grubsze gałęzie. Bielenie nie tylko niszczy resztki grzybów i owadów, których szczotki nie zdołały zebrać, ale dzięki białemu kolorowi zmniejsza w znacznym stopniu niebezpieczeństwo przemarznięcia drzewa.

Zasadniczo zimowa toaleta drzew owocowych powinna być wykonana najpóźniej do końca stycznia. Doświadczenie uczy, że już w pierwszych dniach lutego soki zaczynają podchodzić do góry i lepiej w tym czasie pozostawić drzewo w kompletnym spokoju.

## KWIATY, A CENTRALNE OGRZEWANIE

Bardzo często się słyszy narzekania, że tam, gdzie jest centralne ogrzewanie, kwiaty źle się hodują, marnieją i że trudno je przez zimę przetrzymać w jakiejś takiej formie.

Źle się czują szczególnie te, które lato przebyły w ogrodzie lub na balkonie — trudno się im do nowych warunków przyzwyczaić.

Zdawałoby się, że sprawa ta jest beznadziejna, gdyż właśnie, gdy na dworze hula śnieg z deszczem popędzany przez wicher, człowiek czuje potrzebę posiadania w domu tego kawałka przyrody, tej odrobiny zieleni.

To, że kwiaty, które z letniego mieszkania wróciły zdrowe i zahartowane, w pokoju o centralnym ogrzewaniu zaczynają marnieć, zniechęca wielu do hodowli. Zresztą trzeba to przypisać temu, że przeciętnie kwiaty nasze w zimie tracą z zasady swą krasę i naprawdę nie przyczyniają się do dekoracji mieszkania. Bo przecież trudno nazwać roślinę, która ma smutnie opuszczone, żółknące listki, motywem dekoracyjnym mieszkania. A chęć przyozdobienia swego domu jest przecież głównym celem, dla



którego kwiaty w pokoju hodujemy.

Najwięcej skarg na ten temat się słyszy od szczęśliwych mieszkanki nowych domów, gdzie centralne ogrzewanie stanowi jedną z rozkoszy życia. Wprawdzie w tych domach są naogół szerokie okna, o południowej i wschodniej wystawie, na którychby można dużą ilość doniczek ustawić, dają one wiele światła i słońca, ale kaloryfer, umieszczony pod nimi w celu wyzyskania miejsca, działa na nasze kwiaty szkodliwie. Przy dobrych chęciach można to jednak tak urządzić, że kwiatki z kaloryferami będą zgodnie współżyły.



Cała trudność polegać tu będzie na tem, aby utrzymać powietrze w stanie, nie za suchym i aby rośliny nie miały za ciepło od dołu. Ciepło od dołu można jednak wyzyskać do urządzenia sobie pokojowej oranżerii, ale opis tego wymagałby osobnego artykułu, wobec tego tym tutaj zajmować się nie będę, a napiszę o tem innym razem.

Aby rośliny odizolować od tego ciepła, na parapety okienne trzeba położyć płytki azbestowe. Jest to wydatek niewielki i można je dostać w wielu barwach tak, że łatwo dobrać coś, co by harmonizowało z całym otoczeniem.

Ten środek jednak nie rozwiązuje sprawy całkowicie, gdyż powietrze, znajdujące się w pokoju ogrzewanym kaloryferami, jest jeszcze najczęściej za gorące i za suche. Umieszczane na kaloryferach naczynia z wodą niewiele pomagają. Zresztą ze względu na meble, no i ludzi, nie można dopuścić do tego, aby było za wilgotno, bo to ostatecznie niszczenie, a nie oranżeria.

Idzie o to, aby uzyskać wilgotne powietrze, tuż koło okna. Da się to skutecznie przez kupienie sobie płaskich tacuszek z blachy cynkowej. Wielkość ich musi być ściśle dostosowana do wymiarów okna, a wysokość ich powinna wynosić około 3 cm.

W tę podstawkę ustawiamy kwiaty w ten sposób, aby one stały na spodeczkach odwróconych dnem do góry. Blaszaną podstawkę wypełniamy wodą, której powinno być tyle, aby woda nie sięgała dna doniczki. Tym sposobem roślinki będą stały sucho, a powietrze otaczające je będzie przepojone wilgocią.

Cały zaś pokój nie będzie z tego powodu nic cierpiał (i nawet fortepian się nie rozstroji). Przez takie zabiegi, skrapianie i zraszanie roślin staje się zupełnie zbędne.

Dla oczyszczenia kwiatów wynosimy je co parę tygodni do łazienki, lub kuchni, gdzie im sprawiamy jeneralną kąpiel.

Przy tym systemie nawet palom tak wrażliwym na suchość powietrza nie żółkną końce listków.

Oczywiście, otwieranie okna jest utrudnione, ale przecież od tego są górne szyby. Wietrzenie górą jest najbardziej racjonalne, gdyż jak wiadomo zepsute powietrze tam się gromadzi. Aby nie było niewygodne dostawanie się do „oberluf-tu“, najpraktyczniej jest zastoso-wać ręczki, które okna można automatycznie otwierać.

Marja Dąbrowa.



# Dom i gospodarstwo

## RUPIECIARNIE.

Rupieciarnie są plagą każdego wnętrza. Można by śmiało o nich powiedzieć — „były i będą!”

Bo taka już jest natura kobieca, że przywiązuje się do drobiazgów, kolekcjonuje ozdobne pudełeczka, szczędzi skrawki wstążek, materiałów, pamiątkowe karneciki, programy teatralne; nie lubi się rozstać z czymś, co *kiedyś na coś, komuś* może się przydać, co jest wcieleniem jakiegoś sentymentu, chociażby cieniem, jakiegoś wspomnienia.

A z tego tworzą się archiwa!

Jeszcze pół biedy dopóki nie ruszamy się z miejsca!

Wnętrza szaf wypełniają się stopniowo. Szuflady puchną od tych „cennych” zawartości. Z roku na rok przybywa pudełeczek i pudełek. Skarby wątpliwej wartości rosną, jak przysłowiowe grzyby po deszczu, ale trwają spokojnie na uboczu, nie naprzykrzając się nam bezustannie, chyba w czasie jakichś zasadniczych porządków, kiedy ogrom ich przeraża i nasuwa wojowniczą żądzę niszczenia.

Ale jakąż gehenną stają się te archiwa z chwilą przeprowadzki, a co gorsze, kiedy musimy przygotować się do szczuplejszego terenu operacyjnego. Niestety nawet w tak decydujących momentach zdobywamy się z trudnością na gest decydujący.

Likwidacja archiwów postępuje opieszale. Zawartość każdego pudełeczka, każdej szuflady kufra i szafy budzi nastrój wahania, wyolbrzymia w nas instynkt posiadania, *staje się cenna* z chwilą, kiedy *ma być zredukowana*.

I znów zamiast zbawczej, decydującej operacji, półśrodek! Ze stosu rzeczy odrzuconych przeczułone ręce kobiece wybierają jeszcze i to i tamto, wygładzają, zwiążują w ruloniki i paczuszki, chowają znów do kufra, pudełka, lub szuflady.

W rezultacie przy rozpakowywaniu rzeczy na nowym mieszkaniu, należałoby zacząć od początku — od segregowania i likwidowania. Ale, odkłada się to na „wolną chwilę” odsuwając doraźnie archiwa na dalszy plan, postanawiając powrócić do nich kiedy najważniejsze postulaty przeprowadzki i urządzania się na nowym locum będą już poza nami.

Najczęściej jednak nie powracamy do nich wcale i wszystko pozostaje na martwym punkcie, stwarzając precedens do uprawiania dawnego systemu.

## JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wagi, pryszcze i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.

Te rupieciarskie rozmyślania mogłyby łatwo stać się punktem wyjścia dla podstawowej zmiany nastroju, mogłyby skłonić nas do krańcowego przerzucenia się z jednej ostateczności w drugą, co znów byłoby w praktyce niewskazane. Nie chować nic, przekreślać z góry zwyczaj chowania *czegośkolwiek* jest narówni niewskazane, jak bezkrytyczne kolekcjonowanie.

Przechodząc od teorii do praktyki, postanówmy przechowywać rzeczy potrzebne, a więc: kawałki od sukien, kostjumów, okryć, które jeszcze nosimy. Przydadzą się nam przy reperacjach odświeżaniach przeróbkach.

Natomiast likwidujemy kawałki bezwartościowych materiałów — wspomnienia o sukniach znoszonych, sprzedanych, albo podarowanych, chyba, że będą to tkaniny wartościowe dające się zużyć, jako dodatki do innych sukien, lub cenne dekoracyjnie.

Niewielkie nawet ścinki barwnego aksamitu, jedwabiu, sukna mogą się przydać na aplikacje. Z resztek koronki zawsze można zrobić kołnierzyk, mankiety, obszyć nią chusteczkę do nosa, wyciąć motywy, zużywając je do ozdobienia dziennej, lub nocnej bielizny.

Kawałek lamy staje się podstawą ślicznej wieczorowej torebki, ozdobi modny kazes, przybierze suknię.

„Okruchy” futra staną się bezcenne przy reparacji, a większe, futrzane ścinki przybiorą sukienkę domową, albo dziecięcy paltocik.

To samo przystosujemy z łatwością do kapeluszy. Przechowywanie tych, w których nam było w ubiegłym sezonie „tak bardzo do twarzy”, jest bezcelowe, jeżeli fason kapelusza jest z tych niemożliwych do zmodernizowania, a materiał, z którego był zrobiony nie ma realnej wartości.

Nie trzeba wyrzucać kosztownego filcu, można i trzeba przechować jakąś wartościową, egzotyczną słomkę, ale gromadzenie „twarzowych” beretów, wypływających od słońca czapeczek, dlatego, że „siedzą idealnie na głowie”, albo budzą wspomnienia z przyjemnej podróży, to doprawdy ciężar, którego dźwigać nie warto!

Przesiane przez sito krytycyzmu, kolekcjonerstwo musi się liczyć z wartościami realnymi, powinno umieć wyzbyć się sentymentu na korzyść porządku, ład i wygody. Przesegregowane zabytki nie mogą się obejść bez starannego i umiejętnego przechowania. Wstążki odprasowane, zwinięte ułożymy w pudełku. Na resztki materiałów przeznaczymy jakąś szczelną szufladę, nie wypełnimy jej chaotycznie, przyciskając spiętrzoną zawartość przy każdym zamykaniu, a pozwijamy resztki w ruloniki, zwiążując każdy oddzielnie tasemeczką.

Koronki przechowamy również w pudełku. Kawałki futra zabezpieczymy pieczolowicie od moli. Te same względy zastosujemy do resztek wełny, pozostałej od robót ręcznych, filcowych kapeluszy, piór, które są łakomym żerem dla tych szkodników rozpowszechnionych we wszystkich niemal mieszkaniach.

W systemie porządnego i umiejętnego przechowywania tego rodzaju zabytków, poważną rolę gra *orientacja*. Nie trzeba się narażać na mękę szukania:

Znamy ją wszystkie. Wiemy ile to czasu pochłania, ile zdenerwowania kosztuje odszukanie kawałka jedwabiu, z którego są zrobione wypustki przy granatowej sukni, albo zielonej wełny, niezbędnej w danej chwili do zreparowania swetra.

Przerzucamy gorączkowo zawartość pudełek i szuflad po to, aby potrzebnych rzeczy nie znaleźć wcale, albo w najlepszym razie znaleźć w chwili, kiedy już nie są nam potrzebne.

Jeżeli na każdym pudełku, w każdej szufladzie zapobiegliwa ręka umieści szczegółowy spis ich celowej zawartości, problem zostanie rozwiązany, wykluczając chaos, nieporządek i zdenerwowanie.

Przyswojenie sobie wyżej wzmiankowanego systemu ustrzeże nas też przed kosztownym częstego porządkowania zabytków, niezbędnego po gorączkowym opróżnianiu zawartości szuflad, kufrów i pudełek w poszukiwaniu jakiegoś drobiazgu.

Wanda Dobrzańska.



# Przepisy kulinarne

## Zapiekanki.

**Muszelki z resztek ryby.** Pozostałą od obiadu rybę gotowaną, albo smażoną obrać starannie z ości, podzielić na małe kawałki, wymieszać z sosem beszamelowym. Muszelki, albo terynki wysmarować cieniotko masłem deserowym, wypełnić rybą, skropić masłem sklarowanym, posypać tartym serem szwajcarskim. Na chwilę przed wydaniem na stół wsunąć do gorącego pieca. Zrumienić szybko na złoty kolor, uważając, aby zanadto nie zrumienić.

**Sos beszamel do zapiekaneł.** Czubatą łyżką mąki pszennej rozetrzeć z dwoma łyżkami młodej, wyborowej, kwaśnej śmietany. Szklanę pełno-tłustego mleka słodkiego podgrzać lekko na ogniu, wsypać szczyptę soli, wlać trochę mleka do śmietany z mąką, wymieszać, dodać do pozostałego mleka, zagotować, mieszając bezustannie.

Do gotowego sosu wlać kilka kropel buljonu, wsypać pół łyżki tartego sera szwajcarskiego, wymieszać, jeszcze raz zagotować. 2 żółtka rozbić z łyżką mleka i łyżeczką od herbaty mąki. Gotujący sos zdjąć z ognia, wlać żółtka, wymieszać. Już nie gotować. Dodać do sosu łyżkę wyborowego masła deserowego surowego.

**Muszelki z drobiu z groszkiem zielonym.** Kawałki gotowanego drobiu oczyścić ze skórki, pokrajać drobnutko. Groszek zielony osączyć starannie z sosu. Wymieszać z beszamelem, dodając do niego zamiast tartego sera kilka kropel soku cytrynowego.

**Mózdziki cielece na muszelkach.** Mózgi cielece wymyć w zimnej wodzie, obrać starannie z błony, obgotować w lekko osolonej i lekko zakwaszonej wodzie. Kłaść mózgi w gorącą wodę, gotować kilka minut.

Po ugotowaniu wyjąć na durszlak, niech doskonale obciekną z wody.

Rozetrzeć łyżkę masła z łyżką mąki pszennej, podgrzać na wolnym ogniu. W rozpuszczone masło z mąką wlać szklanę wyborowej śmietany, lekko osolić, zagotować mieszając. Doprawić buljonem, sokiem cytrynowym, solą.

Osączone mózgi pokrajać w drobną kosteczkę, włożyć do gorącego sosu, ostrożnie wymieszać, aby nie zmacerować mózgu. Nakładać na muszelki. Na parę minut przed wydaniem na stół ustawić muszelki na blasze od pieczenia, polać przyrumienionem masłem z bułeczką, wsunąć do dobrze ciepłego pieca, żeby się rozgrzał. Podawać ustawione na poszczególnych talerzykach deserowych. Oddzielnie dać cytrynę pokrajaną w ćwiartki i oczyszczoną z pestek.

**Makaron z szynką i pomidorami na muszelkach.** Cienki włoski makaron polamać

na drobnutkie kawałki. Ugotować na bardzo obfitej, osolonej wodzie, wylać na durszlak, przelać zimną wodą, osączyć.

1/4 średniej wielkości cebuli cukrowej pokrajać drobnutko, sparzyć, udusić w łyżce masła, nie rumieniąc. Wsypać pół łyżki mąki pszennej, wymieszać 15 dkg. wyborowej konserwy pomidorowej, rozprzewadzić paroma łyżkami rosółu, wlać do masła z mąką, wymieszać, zagotować. Doprawić do smaku buljonem, solą, odrobiną cukru. Gdyby sos okazał się za gęsty, dodać jeszcze trochę rosółu.

15 dkg. tłustej szynki wieprzowej wędzonej i gotowanej pokrajać w drobną kostkę, albo przepuścić przez maszynkę od mięsa, dodać do zdjętego z ognia sosu pomidorowego.

Osączony makaron wyłożyć na miskę, wlać 5 dkg. sklarowanego masła deserowego, wymieszać, zalać sosem pomidorowym z szynką i znów wymieszać. Nakładać na muszelki, albo włożyć do jednej większej terynki, skropić masłem, posypać serem szwajcarskim, zapiec, nie rumieniąc zbyt silnie.

**Makaron włoski nypiekany inaczej.** 1/2 klg. makaronu włoskiego średniej grubości, polamać dosyć drobno. Ugotować jak wyżej, osączyć.

Przyrządzić sos beszamelowy z podwójnej proporcji.

Okrągły półmisek blaszany wysmarować masłem deserowym. Makaron wymieszać na misce z połową przyrządzonego beszamelu. Układać na półmisku warstwę makaronu, przykryć cieniotkiem plasterkami obranej ze skórki kielbasy silnie wędzonej, dać znów makaron, kielbasę i makaron. Powierzchu zalać pozostałym beszamelem, posypać serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanym. Zapiec na złoty kolor.

**Ryż zapiekany z cieleciną.** Z pozostałej od obiadu potrawy cielecej można przyrządzić doskonałe zapiekanki, dodając dla podniesienia smaku i aromatu kilka uduuszonych w maśle pieczarek.

Pokrajać cielecinę w drobną kosteczkę. Obrane ze skórki pieczarki pokrajać w cienkie plasterki, udusić w maśle, zakrapiając odrobiną soku cytrynowego. Dusić bez soli.

Ryż, sypko ugotowany, wymieszać z kilkoma łyżkami beszamelu, dodać cielecinę, pieczarki. Nakładać na wysmarowane masłem muszelki, polać powierzchnię beszamelem, skropić masłem, posypać serem szwajcarskim. Zapiec, jak wyżej.

**Jarzynki zapiekane w kruchem cieście.** Ugotować rozmaite jarzynki na osolonej i lekko ocukrowanej wodzie. Osączyć doskonale z wody, wyjąć na miskę, skropić skla-

rowanem masłem, dodać trochę beszamelu, tylko tyle, żeby osiadł na jarzynkach. Nie powinny być „w sosie”.

Wysmarowane masłem muszelki wypełniać jarzynkami. Zagnieść kruche ciasto, stosując się do proporcji: 20 dkg. mąki, 10 dkg. masła, 2 żółtka, troszkę soli, czubata łyżka osianego cukru pudru.

Rozwałkować ciasto kruche, zagniecione podług powyższej proporcji, dosyć cienko. Wykrawać spore krążki (wielkości wierzchu muszelki). Każdą muszelkę przykryć krążkiem ciasta, brzegi lekko przycisnąć, aby nie odstawały w pieczeniu. Ustawić na blasze od pieczenia, wsunąć do gorącego pieca. Gdy się powierzchnia ciasta silnie rozgrzeje, ale jeszcze nie zacznie rumienić, posmarować ją szybko piórkiem maszanem w rozbitym jajku. Wsunąć natychmiast do pieca. Upiec na złoty kolor, podawać gorące.

**Jaja w terynkach w sosie chrzanowym z grzankami.** Długą bułeczkę obetrzeć ze skórki, ukręcając tyle plasterków, ile mamy podać jajek. Z każdego plasterka wyciąć dużym kieliszkiem krążek.

Chrzan, namoczony zawczasu w zimnej wodzie, oskrobać, utrzeć na tarce, lekko osolić. Przygotować gęsty sos z kwaśnej śmietany, wsypać tarty chrzan, wymieszać, zagotować. Gotować chwilę na bardzo wolnym ogniu, nie przykrywając. Doprawić do smaku octem, albo sokiem cytrynowym, cukrem, solą. Zaprawić surowymi żółtkami, biorąc dwa żółtka na szklanę śmietany. (Zaprawiać chrzan żółtkami tak jak beszamel).

Okrągłe terynki wysmarować cieniotko masłem, wlać na dno każdej terynki trochę sosu chrzanowego, dając go tyle, aby się jajko na wierzchu zmieściło.

Plasterki bułki maczać w sklarowanym maśle, ułożyć na patelni, albo na blasze od pieczenia, wsunąć na chwilę do pieca, aby lekko przeschły, ale nie stwardniały.

Terynki ustawić na blasze, wbić w każdą po jednym surowym jajku, lekko osolić, położyć maleńki kawałeczek masła surowego, wsunąć do gorącego pieca. Gdy się białka zetną, wyjąć z pieca, przykryć każde jajko grzaneczką, podawać natychmiast.

**Jajka zapiekane w kwaśnej śmietanie z parmezanem.** Na dno każdej terynki włożyć kawałek masła, wlać łyżkę lekko osolonej wyborowej kwaśnej śmietany, ustawić na gorącej blasze, podgrzać silnie do zagotowania. Ustawić terynki na blasze od pieczenia, wbić w każdą jedno surowe jajko, skropić masłem sklarowanym, posypać suto parmezanem. Wsunąć do gorącego pieca. Wydawać, gdy się białka zetną.

Melba.

 **Skawelna do cęrowania i nici. TRZYLIŁJE**



I. P. P., to skrót nazwy popularnej już w Polsce instytucji: „Informacji Prasowej Polskiej”. 15 lat jej zaś upłynęło w połowie stycznia r. b. Z tego powodu I. P. P. wydała jakby jubileuszowy wycinek z głosami abonentów i opiniami prasy o swej działalności, zebranych na 15 letnim odcinku tej działalności. Ze celu zasadniczego swej działalności, ułatwienia orjentowania się w głosach prasy instytucjom i ludziom, biorącym udział czynny w życiu publicznym, I. P. P. dopięła, świadczy najwymowniejszy fakt iż w ciągu 15 lat swej pracy dostarczyła ok. 7 i pół miliona wycinków z całej prasy przeszło 5000 abonentom. Praca I. P. P. ogarnia kontrolę nie tylko prasy krajowej, ale i prasy zagranicznej. Z I. P. P. współpracuje ok. 30-ści podobnych do niej instytucji zagranicznych w charakterze jej korespondentów zagranicznych. Dzięki temu zasięg jej kontroli treści prasy jest bardzo szeroki.

Jeśli dodać, że poza dostarczaniem wycinków I. P. P. zajmuje się pośrednictwem w prenumeracie wydawnictw prasowych, a nadto, że uczestniczyła i uczestniczy wydatnie w dziele krzewienia wiadomości o prasie za pomocą wydawnictw informacyjnych o prasie (Biblioteka Prasowa Polska) oraz przez urządzenie wystaw prasowych — to śmiało rzecz można, że I. P. P. jest istotnie ośrodkiem informacyjnym dla prasy i pożytecznym, instytucją o charakterze społeczno - kulturalnym, której życzyć należy dalszego pomyślnego rozwoju.

#### 70.000 ZŁOTYCH NA FUNDUSZ SZKOLNICTWA POLSKIEGO ZAGRANICĄ.

Dotychczasowe wyniki zbiórki na Fundusz Szkolnictwa Polskiego ZAGRANICĄ przedstawiają się liczbowo lepiej niż rezultaty zeszlenczone.

Do dnia 15 lutego b. r. na Fundusz wpłynęło przeszło 70.000 złotych.

Suma ta nie zawiera jednakże wpływów ze Śląska i województwa Lwowskiego, które przesłane zostaną dopiero w terminie likwidacyjnym zbiórki.

Wpływy dzienne na Fundusz są coraz większe. W dniu 11 b. m. na konto Funduszu wpłynęło 7.000 złotych; 13 b. m. — 4.800 złotych; 14 b. m. — 7.600 zł.

Szkoły, wojsko, instytucje rządowe i prywatne, oraz całe społeczeństwo spieszy ofiarnie z pomocą szkołom polskim zagranicą.

Oficjalny termin zbiórek ulicznych na Fundusz Szkolnictwa Polskiego ZAGRANICĄ kończy się w dniu 15 lutego, natomiast termin likwidacyjny ustalony został przez Komitet Wykonawczy Zbiórki na dzień 31 marca b. r. Do tego też czasu listy składkowe i ofiary na szkoły polskie zagranicą napływają masowo na konto Funduszu Szkolnictwa Polskiego ZAGRANICĄ Nr. 21.895 w P. K. O.

## OGŁOSZENIA DROBNE

**Płótno** lniane, piękne 1 zł. 50 gr. metr. Próbki na żądanie. Maciejowska, Dolistów, poczta Goniądz.

#### HARCERZE W HOŁDZIE PANU PREZYDENTOWI.

Wśród licznych dowodów szacunku i pamięci, jakie całe społeczeństwo polskie wyraziło Panu Prezydentowi z okazji Imienin, Harcerstwo Polskie złożyło Smeu Wysokiemu Protektorowi serdeczne życzenia w imieniu 200.000 rzeszy harcerzy i harcerzy. Delegację harcerską na Zamku tworzyło 7 osób z władz Naczelnych Z. H. P. oraz dwoma hufcami honorowymi ze sztandarami. Pan Prezydent osobiście przyjął raport i dokonał przeglądu dziarsko prezentującego się oddziału. (H).

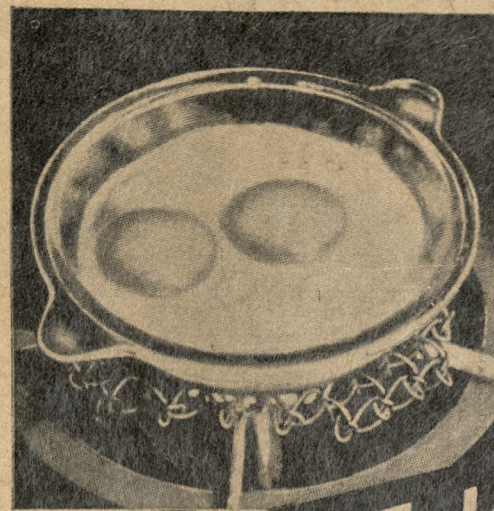
#### MŁODZI POLACY Z ZAGRANICY

W tej chwili toczą się narady Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Harcerstwa i Światowego Związku Polaków z Zagranicy w celu urządzenia wielkiego Zjazdu Młodzieży Polskiej z Zagranicy, nie jak projektowano w Krakowie lecz w Spale i włączenia go w ramy Jubileuszowego Złotu Harcerstwa Polskiego (lipiec 1935 r.). Jest to szczęśliwa myśl o wielkiej propagandowej doniosłości. W ten sposób zetknięcie się Polaków z Zagranicy z wielkim rozmachem Złotu przysporzyłoby Harcerstwu nowych entuzjasmów. W tej chwili poza granicami kraju żyje 70.000 harcerzy - Polaków, największą ilość zorganizowanej młodzieży, która broni się przed wpływem obcego środowiska. (H).

#### PROGRAM JUBILEUSZOWEGO ZŁOTU HARCERZY.

Jubileuszowy Złot Harcerstwa stanowi ma, obok przeglądu dorobku Harcerstwa w ciągu 25 lat, bodziec do rozwinięcia bardziej jeszcze ożywionej pracy w stutysięcznych masach harcerzy. W tym celu program jego pomyślany został jako szereg „harców” — ćwiczeń, turniejów i pokazów, w których wziąć ma udział 900 zastępów, z których każdy liczyć ma 10 harcerzy.

W celu opracowania strony programowej i organizacyjnej tego olbrzymiego przedsięwzięcia odbyła się w dniach 1—5 lutego r. b. w Spale, gdzie Złot ma się odbyć, odprawa delegatów Chorągwi Harcerskich pod przewodnictwem Komisarza Harców hm. por. dypl. M. Łowińskiego. Opracowano zasady i szczegóły harcerskiego biegu z przeszkodami. 24-godzinnej wycieczki, ćwiczeń w ratownictwie, terenoznawstwie, łączności i pionierce i uchwalono wprowadzenie oryginalnie pomyślanej złotowej odznaki „Otwartych oczu” i wesołego Turnieju „Szukamy przyjaciół na Złocie” (H).



**Patelnia = Talerz**

## Potrawy na poczekaniu

są możliwe do przygotowania jedynie przy użyciu szklanych naczyń ogniotrwałych „JENA”. Czyste, praktyczne, ekonomiczne i ogniotrwałe naczynia szklane do pieczenia, smażenia, gotowania i duszenia wszelkiego rodzaju potraw są prawdziwym ideałem Pani domu. Potrawy w tych naczyniach idą prosto z ognia na stół.



Zwracać uwagę na znak fabryczny ogniotrwałego naczynia szklanego

**„JENA”**

**Sprzedaż detaliczna** w następujących sklepach:

**Warszawa:** Aleksander Łakomski, Bracka 20, Aleksander Łakomski, Jerozolimska 23, Magazyn „Cmielów”, Marszałkowska 124.

**Katowice:** W. Czaplicki Nast., Poprzeczna 2,

**Lwów:** Roman Kalczyński, Halicka 21,

**Wilno:** P. Kalitta, L. Zabłocki i S-ka, Wielka 17.

Generalne przedstawicielstwo na Rzeczposp. Polską

**HENRYK MENDELSSOHN**  
Warszawa, Jerozolimska 17, tel. 907-21.

#### KURS KRÓTKOFALARSKI.

W dniu 15.II r. b. rozpocznie się w Warszawie dwumiesięczny kurs krótkofalarstwa, organizowany przez Główną Kwaterę Harcerzy w porozumieniu z Główną Kwaterą Harcerzy przy współudziale Polskiego Związku Krótkofalarów. Wykłady i ćwiczenia odbywać się będą 2 razy tygodniowo w godzinach 18 — 20. Absolwenci kursu, po zdaniu egzaminu końcowego z wynikiem pomyślnym, otrzymują t. zw. „świadczenie” uzdolnienia, upoważniające do ubiegania się o prawa posiadania własnej radiostacji nadawczej i odbiorczej. (H).



**Skończyły się troski  
młodych matek!**

## **KALENDARZ**

### **DZIECKA I MATKI**

**NA  
LATA 1935-36**

da im wszelkie wyczerpujące  
wskazówki żywienia i pielęgnacji  
niemowląt i dzieci  
do lat 7-miu

**350 str.**

**Cena 3 zł.**

Zamawiać i nabywać można w  
Tow. Wyd. „BLUSZCZ”  
W-wa, Solec 87 i Świętokrzyska 17  
oraz we wszystkich większych księ-  
garniach i kioskach „RUCH”.

### **Niezbędny dla każdej Matki to**

**DWUTYGODNIK**

## **„DZIECKO I MATKA”**

Przynosi w każdym numerze nawskroś  
życiowe wskazówki wychowawcze, uczy  
ją współżyć z dzieckiem, nieustannie  
czuwa nad jego rozwojem fizycznym.

Redakcja: W-wa, Solec 87 — Administracja:  
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17

### **WARUNKI PRENUMERATY:**

miesięcznie zł. 1.40

kwartalnie „ 4.—

rocznie „ 16.—

Konto P. K. O. Nr. 12.900.

## **Ozdobi Pani estetycznie**

**mieszkanie, bieliznę  
osobistą i pościelową**

PRZY POMOCY DWUTYGODNIKA

## **„JA TO ZROBIĘ”**

KTÓRY ZAWIERA:

**najmodniejsze wzory  
z dziedziny robót  
ręcznych oraz szereg  
fachowych porad**

Numer w sprzedaży . . . . . 50 gr.  
bez tabl. robót. Objętość numeru  
16 kolumn rysunków i objaśnień.

Numer zwyczajny miesięcz. zł. 1.—  
za 32 kolumny rysunków i druku,  
oraz 2 tablice z wzorami nat.wielk.

Prenumerata pisma z dodatkiem  
1 złoty 40 groszy

na miesiąc 48 kolumn rysunków i objaśnień i 2 tablice wzorów

Redakcja: W-wa, Świętokrzyska 17, tel. 6-76-72  
Administracja: W-wa, Świętokrzyska 17 i Solec 87

Przyjemnością i pożytkiem  
jest zajęcie się modnymi ro-  
botami kobiecymi przy pomocy  
6 doskonałych podręczników

## **Szydełkiem i na drutach**

1. o ściegach szydełkowych i na  
drutach wogóle;
2. co i jak można zrobić dla dzieci;
3. ok. 200 wzorów odzieży i stroju  
dla młodzieży;
4. ok. 200 wzorów tego, co można  
zrobić dla pań i panienek;
5. ok. 200 wzorów odzieży i stroju  
dla panów i chłopców;
6. Mereżki i hafty.

**Cena 1 zł. 50 gr., z przes. 1 zł. 80 gr.**

Zamawiać i nabywać można w  
Tow. Wyd. „BLUSZCZ”  
W-wa, Solec 87 i Świętokrzyska 17  
oraz we wszystkich większych księ-  
garniach i kioskach „RUCH”.